

czas. 19073/1989/1-50

# ● ŚWIĄTECZNY PROGRAM TV

- Chrześcijananie (cz. 1) ● Chrystus w poprzek drogi ● Po kołędzie
- Rodzina polska ● Kasia od Cyganów ● Psia pamięć ● Dwaj różni Sachsowie ● Koniec cinkciarzy? ● „Cichociemni” na Lubelszczyźnie

PL ISSN 0400-2220

TYGODNIK  
WSCHODNI

# relacje

LUBLIN, 21.12.1989R. - 03.01.1990R.

NR 49/89-50/90

CENA 350 ZŁ



Fot. WALDEMAR STĘPIEŃ

**ŚWIĄT  
DOBRYCH  
I LEPSZEGO  
NOWEGO  
ROKU 1990**

**życzy  
Wszystkim  
Zespół „Relacji”**

„Nazywano ich chrześcijanami”

## BÓG SIĘ RODZI, MOC...

Marek Kuryłowicz

**„NAZYWANO** ich chrześcijanami. Na początek tej nazwie dał Chrystus, który za panowania Tyberiusza skazany został na śmierć przez prokuratora Poncjusza Pilata; zaś przytlumiony na razie, ten zgubny zabobon znowu wybuchnął, nie tylko w Judei, gdzie się to zło wyległo, ale także w stolicy, dokąd wszystko, co potworne lub sromotne, zewsząd napływa i licznych znajduje zwolenników”. Takimi słowami rozpoczyna Tacyt (Annales 15, 44; tłum. S. Hammer) swoją relację o chrześcijanach w Rzymie. Stanowi ona jedno z nielicznych zachowanych rzymskich świadectw o historyczności Jezusa Chrystusa oraz o początkach chrześcijaństwa. Wspomina o chrześcijanach ponadto

Swetoniusz przy biografii cesarza Klaudiusza, który w 49 r. n.e. wypędził z Rzymu Żydów za to, że „bezuwzględnie wicherzyli, podlegani przez jakiegoś Chrestosa”. Informacja ta jest wprawdzie niejasna już co do samego imienia, ale zapewne chodzi o Chrystusa i chrześcijan nie odróżnianych w ogólności od Żydów. Niejasność ta pogłębia się poprzez sugestię Swetoniusza, że ów „Chrestos” działał jeszcze za Klaudiusza, ale tak wiele krążyło wówczas sprzecznych wieści i plotek o chrześcijanach, że piszący w pół wieku później biograf mógł być w tej ubocznej dla niego kwestii nie do końca zorientowany. Wiadomość o chrześcijanach pojawia się jeszcze u tegoż Swetoniusza przy opisywaniu panowa-

nia Nerona, za którego „ukarano torturami chrześcijan, wyznawców nowego i zbrodniczego zabobonu” (Suet. Nero 16; tłum. J. Nieminska-Piśarczyńska).

Obszerniejsze informacje znajdujemy w liście Pliniusza Młodszego do cesarza Trajana (z r. 111-112 n.e.). Jego relacja dotyczy rzymskiej prowincji Bitynii w Azji Mniejszej (nad Morzem Czarnym, na terenie dzisiejszej Turcji). Oto co pisze Pliniusz jako namiestnik tej prowincji (tłum. L. Winniczuk):

„Nigdy nie uczestniczyłem dotychczas przy prowadzeniu śledztwa w stosunku do chrześcijan; dlatego nie wiem, co i w jakim stopniu podlega karze ani jak przeprowadzać takie

śledztwo? [...] Czy przebacza się tym, którzy żalują swoich czynów, czy temu, kto zasadniczo był chrześcijaninem, nie pomaga to, że od tej wiary odstąpił? Czy samo miano »chrześcijanin« — o ile byłby poza tym wolny od przestępstw — podlega karze, czy też dopiero przestępstwa wynikające z tego wyznania karze podlegają?

Dotychczas w stosunku do tych, których przyprowadzano do mnie, jakoby byli chrześcijanami, stosowałem taki sposób postępowania: pytałem ich samych, czy są chrześcijanami. Kiedy przyznawali się do tego, pytałem po raz drugi i po raz trzeci, grożąc karą śmierci. Trwających uparcie przy swoim, kazałem odprowadzać na śmierć. Nie miałem bowiem wątpliwości, że należy karać upór i nie dającą się przelamać krnąbrność. Byli znów inni, których opanował podobny obłęd — ale jako obywateli rzymskich uważałem, że należy odesłać do Rzymu.

Wkrótce, w tym okresie, kiedy załatwiano te sprawy, pojawiły się różne formy oskarżeń, ponieważ przestępstwo to zaczęło się rozszerzać

Dokończenie na str. 8



## relacje

## ZE ŚWIATA

● Zmarł Andriej Sacharow. Twórca radzieckiej bomby wodorowej. Od wielu lat czołowy działacz opozycji w ZSRR. Wybitny przedstawiciel ruchu praw człowieka, laureat pokojowej Nagrody Nobla. „Był sumieniem narodu, jego śmierć jest stratą dla wszystkich prawych ludzi w Związku Radzieckim i na całym świecie. Całe życie poświęcił walce o sprawiedliwość i o prawdę, nigdy nie sprzeniższy się najwyższymi wartościami, niezależnie od politycznej koniunktury. Jeszcze wczoraj, kilka godzin przed śmiercią, uczestniczył w obradach Międzyregionalnej Grupy Deputowanych” — powiedział o zmarłym Borys Jelcyń. Przed domem Andrieja Sacharowa tysiące mieszkańców Moskwy składało kwiaty. Wielu ludzi płakało. W jednej z witraży ściennej umieszczono portret uczonego z napisem: „Wybac nam!”.

● Na Zjeździe Deputowanych Ludowych ZSRR utworzono 200-osobową formalną grupę opozycji parlamentarnej — Międzyregionalną Grupę Deputowanych. W trakcie obrad odrzucono propozycję zniesienia zapisu konstytucyjnego o kierowniczej roli KPZR, a także m. in. ważnych ustaw o ziemi i o własności. Na Zjeździe, krytykując program premiera Nikołaja Ryzkowa, Borys Jelcyń domagał się m.in. wolności prasy, wprowadzenia systemu wielopartyjnego, odpolitycznienia gospodarki, ustawodawstwa antymonopolowego.

● Pomimo dokonanych redukcji, jak stwierdził premier Ryzkow, Armia Radziecka pozostaje najliczniejszą i najlepiej wyposażoną armią na świecie. Obecnie liczy ona 4250 tys. żołnierzy, z których 625 tys. stale stacjonuje poza granicami ZSRR.

● Nowy minister spraw zagranicznych Czechosłowacji Jiří Dienstbier stwierdził, że układ o stacjonowaniu wojsk radzieckich w CSRS jest nieważny, gdyż został zawarty pod przymusem w 1968 roku. „Dotąd byliśmy górą lodową w środku kontynentu, zawiadającą porozumieniem europejskiemu” — powiedział Dienstbier, który, jako działacz opozycyjny, spędził w więzieniu 3 lata.

● Już w pierwszej turze wyborów kandydat opozycji, Patricio Aylwin, uzyskał 55 proc. głosów i tym samym został nowym prezydentem Chile. Armia zapowiedziała podporządkowanie się władzy prezydenta, chociaż Augusto Pinochet jeszcze przez 8 lat zachowa stanowisko głównodowodzącego sił lądowych. Trudno uwierzyć w pełną lojalność armii, jeśli niektórzy wyżsi wojskowi stwierdzili oficjalnie, że nie ma powodów do informowania prezydenta o wszystkich tajemnicach armii chilijskiej.

● Po zabójstwie amerykańskiego oficera w stolicy Panamy, kontyngent wojsk USA postawiono w stan pogotowia. Parlament panamski ogłosił stan wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Waszyngton zareagował ze spokojem, gdyż Biały Dom i tak nie uznaje rządu generała Noriega.

● Ostatniej chwili: Rozpoczęły się walki między armią amerykańską a panamską.

● Według statystyk międzynarodowej organizacji pomocy dzieciom — UNICEF, codziennie umiera na świecie 40 tys. dzieci z powodu różnych chorób, którym można by zapobiec bez trudu. Suma potrzebna na roczny zakup niezbędnych antybiotyków i szpitalnic oraz podstawowych środków higieny jest równa temu, co wydaje na alkohol społeczeństwo radzieckie lub amerykańskie firmy na reklamę papierosów.

● Parlament Europejski w Strassbourgu wezwał RFN do jednoznacznej uznania granicy na Odrze i Nysie.

● Helmut Kohl przebywał z oficjalną wizytą na Węgrzech. Na Uniwersytecie Budapeszteńskim wręczono mu doktorat honoris causa.

● Z wywiadu Vaclava Havla dla „Gazety Wyborczej”: „O tym, kto zostanie prezydentem, zdecyduje Zgromadzenie Federalne. Gremium to nie zostało przez nikogo wybrane, istnieje od 20 lat praktycznie w niezmiennym składzie i nikt nie ma żadnych złudzeń co do wiarygodności jego członków. Będzie podlegał różnym naciskom i nie wiem, jaki przyniosą one skutek. Dlatego nie wiem też, kto zostanie wybrany na prezydenta”.

● Po kilkunastoletniej nieobecności przyjechał do Czechosłowacji wybitny reżyser Młosz Forman, który pragnie udzielić poparcia kandydaturze V. Havla na prezydenta. Zapytany o Amerykę, gdzie stał mieszka, odpowiedział: „Ameryka to dżungla. Lepiej jednak żyć w dżungli, niż w ZOO”.

## relacje

## Z KRAJU

● Uroczystości obchodzone 19. rocznicę tragedii robotników Wybrzeża. Pod pomnikami poległych stoczniowców w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie odbyły się msze polowe. W kaplicy stoczniowców w Gdańsku umieszczono drzwi, na których w 1970 roku niesiono zabitego 17-letniego chłopca.

● W kilku dużych miastach Polski doszło do demonstracji ulicznych, zorganizowanych przez ugrupowania radykalne. Domagano się ukarania winnych ofiar stanu wojennego oraz dymisji prezydenta Jaruzelskiego. W Krakowie, Katowicach i Szczecinie doszło do starć z milicją.

● Wicepremier Leszek Balcerowicz przedstawił w Sejmie założenia polityki gospodarczej rządu na najbliższą przyszłość. Sejm powołał nadzwyczajną komisję dla zbadania projektów kilkunastu ustaw gospodarczych.

● Zakończył obrady IV Krajowy Zjazd NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Nowym przewodniczącym został Gabriel Janowski, który uzyskał 160 głosów, a dotychczasowy przewodniczący Józef Śliż — 84 głosy.

● W Polsce na jednego mieszkańca przypada 0,3 ha ziemi ornej, dwa razy mniej niż przed 40. laty.

● W 1987 roku średnia wieku piekarzy przekroczyła 53 lata i nadal rośnie.

● Przeciętna emerytura i renta w ciągu jedenastu miesięcy 1989 roku wyniosła 44,7 proc. średniej płacy krajowej. Przed rokiem ta relacja wynosiła 50,3 proc.

● Inflacja w Polsce wynosi rocznie ok. 3000 procent — powiedział doradca ekonomiczny premiera Mazowieckiego W. Kuczyński w wywiadzie dla „Le Nouvel Observateur”.

● Pełne ubezpieczenie kwartalne fiata 126p ma wynosić w 1990 roku 50 tysięcy złotych. Za samochody zachodnie o pojemności silnika ponad 1500 cm³ płacić się będzie 350 tys. zł.

● „Od dłuższego czasu Polska zajmuje jedno z ostatnich miejsc w Europie w zużyciu papieru. W tym roku na jednego mieszkańca naszego kraju przypada statystycznie 36 kg papieru, gdy na Zachodzie — 150 kg. Według innego przelicznika, na przeciętnego Polaka przypada rocznie 10 kg publikacji, gdy na przykład w Bułgarii już 14 kg, nie mówiąc o Francji (51 kg), czy RFN (78 kg). Otóż brakuje w kraju 300 tys. ton surowca na takie takie załatanie potrzeb, a w dodatku tyleż wynosi jego eksport — papiernie bowiem chcą zarablać” („Przegląd Tygodniowy” nr 51).

● O wejście na rynek wydawniczy ubiega się w tej chwili 300 nowych tytułów prasowych.

● W ramach wewnętrznej wymiennalności złotych, od 1 lipca 1990 roku w Pewexach będzie można kupować za dolary i złoty.

● W latach 1962—88 milicja odebrała z rąk prywatnych 62 tysiące pistoletów, rewolwerów i karabinów pochodzących z okresu II wojny światowej, na które ich właściciele nie posiadali zezwoleń.

● Obradujące wspólnie sejmowe komisje Sprawiedliwości i Ustawodawcza przygotowały projekt zmian w ustawie o sędach powszechnych. Zdaniem członków komisji, sędzia nie może należeć do partii politycznej ani prowadzić żadnej działalności politycznej. Ma jednak prawo kandydować do parlamentu.

Zbigniew Dzieciółek  
Leszek Wiśniewski

JEDNYM z najważniejszych tematów ostatnich dni jest, zapowiedziane na 1 stycznia 1989 roku. Wprowadzenie wymiennalności złotych. Większość z nas nie bardzo potrafi sobie to wyobrazić. W przeprowadzonej przeze mnie miniankiecie na ten temat padały, na ogół, następujące odpowiedzi: „będzie jak przed wojną”, „każdy będzie mógł sobie wymienić złotówki na dolary”, „banki zachodnie będą przyjmować złotówki”, „złotówka stanie się pieniądzem międzynarodowym”.

Wymienione odpowiedzi — sądzą, iż rzeczywiście typowe — nie są niestety prawdziwe. Ich wspólną cechą jest poszukiwanie bezpośrednich konsekwencji wprowadzenia wymiennalności. Te zaś będą, jeżeli w ogóle, nieznaczne. Wymiennalność rzeczywiście mieć będzie wielkie konsekwencje dla „przeciętnego zjadacza chleba”, będą to jednak konsekwencje pośrednie.

ALe po kolei. Wiedza o polityce walutowej, co łatwo zrozumieć, nie jest w Polsce zbyt wielka. Większość osób wyobraża sobie, iż możliwe są tylko dwa stany: wymiennalność lub jej brak. Rzeczywistość jednak jest znacznie bardziej skomplikowana. W istocie nie ma kraju, w którym — mniej czy bardziej nielegalnie — nie można kupić zagranicznych środków płatniczych. Niewiele (około dwudziestu) jest krajów, w których nie istnieją żadne ograniczenia w swobodzie posługiwania się obcą walutą (istniały one, zwłaszcza po 1936 roku, również w przedwojennej Polsce).

W pewnym sensie zatem (od początku 1989 roku całkiem legalnie) złotówka zawsze była „wymienialna”. Zawsze również istniały banki zagraniczne, które skłonne były, chociaż po kursie znacznie gorszym od czarnorynkowego, kupować złotówki. Nie można także wykluczyć sytuacji, w której przedsiębiorstwa zagraniczne (zwłaszcza „polonijne”) użyły złotych w rozliczeniu transakcji, mogły być zatem przypadki, w których złotówka była pieniądzem międzynarodowym. Przypadki takie od 1 stycznia 1990 roku będą zapewne występować nieco częściej, nie one jednak będą istotą wprowadzanych zmian.

A istotą tą jest zniesienie (z niewielkimi wyjątkami) rozdzielnictwa dewiz dla przedsiębiorstw uspołecznionych. Do tej pory było tak, iż przedsiębiorstwa te, jeżeli potrzebowały dewiz na import, musiały albo zarobić je eksportem własnych wyrobów (coś przychodów dewizowych mogły w tym celu gromadzić na tzw. ROD-ach, czyli rachunkach odpisów dewizowych), albo musiały zwracać się do MHZ z prośbą o dewizowy przydział. Stosowny urzędnik, jeżeli ustalony wcześniej rozdzelnik na to pozwalał, mógł takiego przydziału udzielić, a wtedy przedsiębiorstwo „kupowało” dewizy po kursie znacznie (na ogół czter-, pięciokrotnie) niższym od rynkowego. Obecnie zaś każde przedsiębiorstwo, jeżeli tylko ma pieniądze, będzie mogło kupić sobie dowolną ilość potrzebnych dolarów czy funtów po jednakowym dla wszystkich kursie.

Istotą wprowadzonej zmiany jest zatem przejście od reglamentacyjnej do rynkowej formy rozdziału dewiz, co określane jest jako wprowadzenie „wymienialności wewnętrznej” albo (lepiej i dlatego ekonomieści wolą używać tego określenia) wprowadzenie „jednolitego kursu walutowego”.

## TOTUS TUUS

## O wizytach duszpasterskich rozmowa z księdzem Ryszardem Jurakiem

— Proszę księdza, zbliża się czas świątecznych wizyt duszpasterskich. Skąd bierze się tradycja tych odwiedzin?

— Niemal od początków Kościoła katolickiego. Już apostołowie często nawiedzali swoich wiernych, którzy nawrócili, ochrzczili. Trudno sobie wyobrazić duszpasterstwo bez bliskich, prywatnych kontaktów z wiernymi. W krajach misyjnych ich rola jest niezmiernie ważna. W Kościele polskim jest to tradycja odwiedzin w okresie Bożego Narodzenia. Dlaczego wtedy? Bo jest to święto Rodziny Nazaretńskiej, a zatem święto każdej rodziny chrześcijańskiej. Zbawiciel przez swoje narodziny wnosi do rodziny ludzkiej tyle radości i pokoju!

— Jakie są wrażenia księdza proboszcza z wizyt w okresie Jego dzieciństwa?

— O, były to wielkie przeżycia! Wychowałem się w środowisku wiejskim, bardzo religijnym i patriotycznym, gdzie niezależnie od katechizacji, kazań, dla dziecka zawsze najważniejsze, najbardziej uroczyste było święto Bożego Narodzenia, choć wiadomo, że w Kościele katolickim najważniejsze jest święto Zmartwychwstania Pańskiego. Wizyta duszpasterska była wielkim wydarzeniem w naszej wsi. Uprzążano domostwa, a tego dnia dzieci od rana wypatrywały przyjazdu duszpasterza. Zazdrościliśmy dzieciom gospodarza wyznaczanego do przywitania i odwiedzania księdza. Po modlitwie, błogosławieństwie dla rodziny, ksiądz siadał i pytał. Trzeba było odpowiadać na różne pytania z katechizmu, a nie wiedząc czy pomylić się to byłby wielki wstyd. Pytał o zachowanie dzieci, a rodzice mówili prawdę. Pochwałę księdza lub naganą pamiętało się długo.

— Od jak dawna ksiądz proboszcz prowadzi działalność duszpasterską? I w jakich środowiskach?

— Księdzem jestem dwadzieścia lat. Kilka słów o środowisku, które mnie ukształtowało, czyli parafia Chodel. Stąd pochodzi aktualnie 40 księży, wiele sióstr zakonnych i organistów. Tu właśnie otrzymałem święcenia kapłańskie. Moja wieś, położona daleko od kościoła, była wyjątkowo religijna. Tu odbywały się nabożeństwa środowiskowe, owe majówki, czerwcowki, różańce pod figurą, a zimą nabożeństwa w większych domach. Pracę duszpasterską zaczynałem w Kamionce lubartowskiej, potem były kolejno: Tarnogóra koło Izbicy, Milejów, Dub tomaszowski, Kazimierz nad Wisłą, Puławy, Wąwolnica, Grabów gdzie zbudowałem kościół, a obecnie Lublin, parafia pod wezwaniem Świętej Rodziny na Czubach.

— Zapewne są dość znaczne różnice środowiskowe między tamtymi a Lublinem...

— Są różnice między każdymi z tych środowisk. Inaczej różni się w parafii wiejskiej, inne wymagania stawia parafia turystyczna, myślę tu o Kazimierzu, inne robotniczo-inteligencka, jak Puławy, a inne parafia osiedlowa, w której buduje się nie tylko kościół, ale nową wspólnotę parafialną jak na Czubach w Lublinie. Te środowiska żyją innymi problemami, choć wiele jest wspólnych dla wszystkich.

— Czy ksiądz w czasie wizyt odsuwa niekiedy uprzejmą niechęć, brak wiary, uprzedzenia polityczne itp.? Czy ilość takich zachowań rośnie, czy maleje?

— Gdy się jest na progu kapłaństwa, człowiek jest bardzo uczulony na te sprawy. Gdy je zauważa, od-

czuwa, to one paraliżują kontakt z rodziną. Po wielu latach praktyki kołędowej nauczy się nie zauważać tego, a jeśli wyczuwa, to musi przejść ponad tym, żeby nawiązać dialog z pozostałymi domownikami.

— W mojej rodzinnej miejscinie ksiądz omijał mieszkania żyjących w konkubinacie lub tylko po ślubie cywilnym. Jak te sprawy są traktowane obecnie, a także osobicie przez księdza proboszcza?

— Były czasy, kiedy nie tylko ksiądz, ale nawet środowisko odrzucało takie małżeństwa. Nawet zrywano kontakty towarzyskie, sąsiedzkie. Kościół także ustosunkowywał się dosyć negatywnie do tych rodzin. Ale dzisiaj jest inaczej. Kościół pragnie widzieć całego człowieka, jego słabości. Ukazała się adhortacja Ojca Świętego Jana Pawła II pt. „Familiaris consortio”, traktująca o tym problemie. Różnie się w życiu ludzi układa. Zostawiamy to Bogu. Ale Kościół zapatruje się inaczej na nieślubne związki rodzin, gdzie jest brak dobrej woli obydwu stron małżeństwa; inaczej, gdy tylko jednej, a jeszcze inaczej, gdy istnieje tzw. przeszkoda zrywająca. Wtedy inaczej przecież rozkłada się religijne akcenty odpowiedzialności za taki stan. Ksiądz już nie dystansuje się od takich małżeństw, a jeśli, to w sporadycznych przypadkach.

Pomocną okazała się tu wspomniana adhortacja Ojca Świętego. Zacytujmy fragment: „Kościół bowiem ustanowiono dla doprowadzenia wszystkich ludzi, a zwłaszcza ochrzczonych, do zbawienia, nie może pozostawić swojemu losowi tych, którzy już połączeni więzią sakramentalną, próbowali zawrzeć nowe małżeństwa. Będzie niestrudzenie podejmował wysiłki, by oddać im do dyspozycji posiadane przez siebie środki zbawienia”. Zwracając się zaś do duszpasterzy, Papież powiedział: „Razem z Synodem wzywam gorąco duszpasterzy i całą wspólnotę wiernych do okazania pomocy rozwiedzionym, do podejmowania z troskliwą miłością starań o to, by nie czuli się odrzuconymi od Kościoła, skoro mogą, owszem, uczestniczyć, jako ochrzczeni, w jego życiu. Niech będą zachęcani do słuchania Słowa Bożego, do uczęszczania na mszę świętą, do wytrwania w modlitwie, do pomnażania



Wprowadzona zmiana jest tedy bardzo podobna do „urynkowania” handlu żywnością, które nastąpiło 1 sierpnia 1989 roku. W obydwu przypadkach powstaje sytuacja, w której pieniądź, a nie „kartka”, decyduje o tym, kto i ile kupi.

Jest jeszcze jedno podobieństwo. Rynek dewizowy będzie (i to w jeszcze większym stopniu) rynkiem zmonopolizowanym. Monopol będzie bardzo ścisły, gdyż na wszystkich przedsiębiorstwach zarabiających dewizy istnieje obowiązek odsprzedaży ich państwu, a równocześnie jedynym miejscem zakupu dewiz dla przedsiębiorstw, które ich potrzebują, będzie bank państwowy. Wykluczony jest wolny obrót dewizami między przedsiębiorstwami, który — w obrębie środków posiadanych na ROD-ach — był w tym roku możliwy. W pewnym sensie zatem wprowadzenie JKW jest krokiem wstecz w stosunku do wolnego rynku i nasileniem zjawisk monopolistycznych.

## JKW: JEGO KRÓLEWSKA WYSOKOŚĆ JEDNOLITY KURS WALUTOWY

Michał Zieliński

W sytuacji monopolu, zwłaszcza, gdy jest to monopol pełny, istotne znaczenie mają zasady ustalania cen. Teoretycznie istnieją tu dwie możliwości. Cena rynkowa, która rośnie, gdy popyt przewyższa podaż i spada w odwrotnej sytuacji, oraz arbitralnie ustalana na pewien okres cena niezmienna. W chwili, gdy piszę ten tekst, oficjalnej decyzji co do zasad określania kursu jeszcze nie ma. Wszystko jednak, łącznie z półoficjalnymi wypowiedziami przedstawicieli Ministerstwa Finansów, wskazuje, iż zdecydowano się na wariant ustalonego na okres półroczny kursu niezmiennego.

Jak łatwo zauważyć, jest to kolejna decyzja sprzeczna z „duchem” reformy rynkowej. Jak się wydaje, o jej przyjęciu zdecydowało kilka „czynników związanych z obecną sytuacją monetarną Polski. Kurs sztywny ułatwia przejście od reglamentacji do wymiennalności dla przedsiębiorstw oraz zmniejsza ryzyko wielkiej inflacji „importowanej” (miałaby ona miejsce wtedy, gdyby rynkowy kurs dolara zaczął gwałtownie rosnąć). Wydaje się również, iż obydwie te „czynniki” były w istocie mało ważne w porównaniu z trzecim. Otóż zwolnieniem takiego rozwiązania jest Międzynarodowy Fundusz Walutowy. W typowych „pakietach” środków, które należą do krajów ubiegających się o pomoc, są: zrównoważenie budżetu, zniesienie dotacji do cen i ich urynkowanie, zamrożenie płac oraz wprowadzenie czasowo niezmiennego kursu dewizowego. W zasadzie dopiero po spełnieniu tych warunków MFW sięga do „kalki”.

Obok wspomnianych zalet kurs sztywny ma też wady. Najważniejsze są dwie. Brak jest realnych podstaw do jego ustalenia (szczególnie przy przejściu od reglamentacji dewiz). Jest on także kosztowny w tym sensie, iż trzeba zgromadzić i utrzymywać spore rezerwy dewizowe dla jego obrony w przypadku, gdy popyt na dewizy okaże się wyższy od ich podaży. (Ta druga wada najprawdopodobniej usunięta zostanie dzięki MFW, który nosi się z zamiarem udzielenia na ten cel miliardowej — w dolarach oczywiście — pożyczki).

Ustalenie wysokości kursu dolara jest sprawą kluczowej wagi. W potocznej świadomości ciągle błąka się absolutnie błędne przekonanie, że dobry kurs to kurs niski (kursowa równość jena wynosi pół centa, funta — półtora dolara, a przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie twierdził, iż gospodarka brytyjska jest lepsza od japońskiej). Jest to oczywiście nieprawda. Dobry kurs to kurs równowagi.

Niestety nikt nie wie, czy zapotrzebowanie naszej gospodarki na dolary zrówna się z ich podażą przy cenie dolara wynoszącej, na przykład, siedem tysięcy złotych lub też, na przykład, tysięcy piętnaście. A błąd przy ustaleniu kursu jest kosztowny nie tylko w tym sensie, iż brak równowagi powoduje w gospodarce — znany nam z rynku dóbr konsumpcyjnych — bałagan. Przy kursie za niskim gwałtownie spada opłacalność produkcji krajowej zarówno

dla rynku wewnętrznego, jak i na eksport).

Tak jest na przykład, na co skąfzą się producenci w artykule „Godzina szczerości” („Przegląd Tygodniowy” 50/1989), z eksportem polskiej wełny. Przy niskim kursie dolara, opłacalna dla polskich producentów cena znacznie przekracza ceny, po jakich towar ten oferują inni dostawcy.

A zatem: kurs za niski oznacza spadek eksportu i zmniejszenie przychodów dewizowych przy równoczesnym dość niefrasobliwym ich wydatkowaniu na import tego, co mogłoby być wyprodukowane w kraju. Dalszą konsekwencją — tu właśnie zaczynają się wspomniane ogromne pośrednie następstwa wymiennalności dla ludności — jest zamykanie przedsiębiorstw krajowych, a więc bezrobocie dla zatrudnionych w nich pracowników.

Natomiast kurs za wysoki oznacza znacznie większy impuls inflacyjny. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że importowane dobra konsumpcyjne (kawa, telewizory, swetry, cytrusy itd.) mają ceny krajowe ukształtowane w oparciu o rynkowy kurs dolara (cena zachodnia razy, powiedzmy, osiem tysięcy). Tutaj niewiele się zmieni. Natomiast ceny importowanych materiałów i maszyn liczone były do tej pory według znacznie niższego kursu oficjalnego. Przejście na jednolity kurs wymienny spowoduje wobec tego wzrost cen tych wszystkich wytwarzanych w kraju dóbr (a jest ich znacznie więcej, niż przypuszczamy, na przykład wszystkie produkty chemiczne), w których zawarty jest „wsad importowy”. Nastąpi również wzrost cen tych towarów, za które w eksporcie otrzymujemy wysoką cenę. Najważniejszy jest tu oczywiście węgiel. Przy jego światowych cenach rzędu 40-50 dolarów za tonę przejście na jednolity kurs walutowy musi oznaczać gwałtowną podwyżkę ceny krajowej. Jeżeli kurs ustalony będzie na 7000 złotych, cena ta wyniesie „tylko” 300-350 tys. złotych. Przy kursie wyższym, na przykład 12 tysięcy

złotych, już 500-600 tys. złotych. Na szczęście wszyscy zaopatrzyli się już w węgiel na zimę, stąd bezpośrednich skutków podwyżki taka na razie mieć nie będzie. Pamiętajmy jednak, że droższy węgiel to droższa energia, a droższa energia to droższe wszystkie inne towary.

LE wynosić będzie JKW? To wiedzieć mogą jedynie decydenci z Ministerstwa Finansów i Narodowego Banku Polskiego. Nagabywani przez dziennikarzy, udzielili: minister Marek Dąbrowski — wymijającej („jeszcze nie został ustalony, a szacunki ekspertów są rozbieżne”), a prezes Władysław Baka — zaskakującej odpowiedzi.

Zanim jednak przejdziemy do plotek, proszę zwrócić uwagę na interesujące i na ogół niedostrzegane zjawisko. Jest nim zbliżanie się kursu rynkowego i oficjalnego. Kurs rynkowy był, praktycznie rzecz biorąc, stabilny i przez półtora miesiąca oscylował wokół siedmiu tysięcy złotych, by dopiero 15 grudnia podskoczyć do 8 tys. zł. Natomiast kurs oficjalny zmieniany był co tydzień i wynosił (pierwsza liczba — kurs w złotych, druga — odsetek ceny rynkowej):

6 listopada	2 400	25
13 listopada	3 150	45
20 listopada	3 400	50
27 listopada	3 800	56
5 grudnia	4 200	60
11 grudnia	5 000	70
18 grudnia	6 000	75

Jeżeli proces oficjalnej dewaluacji złotego postępować będzie dalej w tym tempie i równocześnie nie wystąpi większa przedświąteczna hossą na walnym rynku dolarów, to do końca roku obydwie te kursy mogą zejść się na poziomie 8-9 tysięcy złotych za jednego dolara.

Czy jednak oznacza to, że taki będzie ustalony 1 stycznia jednolity kurs walutowy? Sporo osób tak uważało. (Pewne znaczenie miała tutaj kampania reklamowa pana Grobelnego, który obiecywał, iż doprowadzi do obniżenia kursu do 3-4 tysięcy złotych). Sprawa nie jest jednak taka prosta.

Wiadomo, że — zwłaszcza w pierwszej połowie przyszedłego roku — czeka nas znaczny wzrost cen. Projekt ustawy budżetowej przewiduje, iż ceny detaliczne w pierwszym kwartale podwoją się. W takiej sytuacji niski sztywny kurs oznaczałby dwukrotne potaniecie w tym czasie dóbr importowanych i dwukrotny spadek opłacalności eksportu.

Prezes NBP prof. Władysław Baka, wypowiadając się na wspomnianej konferencji prasowej, powiedział, iż wobec tego kurs 1 stycznia musi być ustalony tak, aby z wyprzedzeniem uwzględnił wzrost cen w pierwszym półroczu, czyli okresie, w którym jednolity kurs walutowy ma pozostać niezmienny.

He tego „wyprzedzenia” należy 1 stycznia dodać? Czy oznacza to iż JKW ustalony będzie na poziomie 10 tysięcy złotych? A może 15 tysięcy złotych? A może jeszcze wyżej? Tego nie wiem.

Halina Zielińska we wspomnianym artykule pt. „Godzina szczerości” („Przegląd Tygodniowy” 50/1989) píše: „Najświeższe plotki rozpuszczane przez kręgi zbliżone do NBP, mówią, iż kurs dolara ustawiony będzie na poziomie 12-15 tysięcy złotych”. To są — podobnie jak pogłoski o różnicy poglądów między Ministerstwem Finansów i Narodowym Bankiem Polskim — jednak tylko plotki.

dział miłości [...]. Ażebym w ten sposób, z dnia na dzień wyprasali sobie u Boga łaskę”.

W świetle tego dokumentu my nie mamy powodu nie odwiedzać takich rodzin, które mają taką przeszkodę zrywającą, a przede wszystkim mają dzieci. Buziemy do tych ludzi, bo oni są katolikami i posiadają obowiązki wynikające z przyjęcia sakramentu chrztu świętego.

— Ja również wychowałem się na wsi i pamiętam, że kapłan w czasie wizyt pełnił także usługi medycyny pomiędzy sąsiedztwami...

— Miałem bardzo dużo takich sytuacji. W środowiskach wiejskich są to częste przypadki, natomiast w mieście, konkretnie w mojej parafii, miałem tylko jeden taki przypadek. Często natomiast spotykam się z trudnościami w pożyciu małżeńskim moich parafian. Jeśli rodzina pragnie skorzystać z pomocy kapłana, to umawiam się z nimi na inny dzień, albo po zakończonej kołędzie, tego samego dnia przychozę i już bez obecności dzieci staram się wspólnie rozładować te napięcia.

— Czy ksiądz w czasie wizyt chodzi od mieszkańca do mieszkańca, czy też po wcześniejszym potwierdzeniu zgody i zaproszenia?

— Pracuję w nowej parafii, do której sprowadzają się ciągle nowe rodziny, co wynika z szybkiej rozbudowy dzielnicy Czuby. Kilka lat temu osiedle liczyło 6 tysięcy mieszkańców, obecnie już 30 tysięcy. Będzie jeszcze więcej, ale w najbliższym czasie nastąpi podział naszej parafii na dwie. W tej drugiej również będzie budowany kościół, nowa wspólnota parafialna. Wracając do pytania: rocznie przybywa około 700 rodzin, a pozostałe nie zawsze jeszcze znamy, więc o naszej wizycie uprzedzamy w przeddzień i pytamy o zgodę.

— Nie mogę sobie odmówić pytania o sprawę wizyt u tzw. prominentów, a więc ludzi, którzy zgodnie z wymogami określonej ideologii, powinni być ateistami. Czy coś tu „drgnęło”?

— Panie redaktorze, w naszej pracy duszpasterskiej nie ma pojęcia „prominenci”. Całe środowisko w parafii przyjmujemy takim, jakie ono jest. W kar-

totekach parafialnych nie notujemy, że ktoś jest prominentem, należy do PZPR, SD czy do „Solidarności”. Te sprawy w naszych kontaktach pomijamy. A zresztą rodzi się pytanie, kto to jest prominent? Bo gdy chodzi o uposażenia, to prominentów należy szukać na bazarach!

— Ale podtekst mojego pytania jest oczywisty...

— Rozumiem, chodzi o ludzi władzy. Na naszym terenie mieszka mało ludzi, którzy są związani z kręgami władzy. Ale jeśli tacy są, to ktokolwiek wyrazi chęć spotkania duszpasterskiego, idziemy doń.

— Czyby to wielkie spotkanie, z udziałem naukowców, intelektualistów. To w sumie chyba utrudnia kontakt, a przynajmniej integrację wspólnoty parafialnej?

— Trzeba stwierdzić, że jest to przede wszystkim za duża wspólnota parafialna, żeby szybko się zintegrowała. Idealnie jest parafia do 10 tysięcy wiernych. Wtedy można nawiązywać bliższe kontakty duszpasterskie, integrować. Dla przykładu, osiedle Skarpa, najstarsze na Czubach, mające około 2,5 tys. rodzin, jest mi już bardzo dobrze znane i dobrze zespolone z parafią poprzez budowę kościoła i całego naszego zespołu sakralnego, wizyty kołędowe, przez kontakty w kancelarii parafialnej, a także przez historyczną dla nas, dla Lublina i kraju, wizytę papieża. Inne osiedla z każdym rokiem mocniej się integrują, ale na to trzeba dłuższego czasu. Na początku bywa tak, że nowo nasiedleni jeszcze przez jakiś czas są związani ze swoim poprzednim kościołem, parafią, tam uczęszczają na msze itd. Ważnym elementem staje się wówczas katechizacja dzieci.

— Niektóre wizyty, przynajmniej w moim mieszkaniu, noszą znamiona pośpiechu, mniejsza o której mówię tu parafii. Nigdy na przykład nie udało mi się zatrzymać księdza na kawie. Z kolei jeden z moich kolegów, wcale nie anonimowy członek PZPR i prominent, choć nie bazarowy, regularnie przechwytywał swojego duszpasterza na całej kwadransie. Czy to wynika z nakazu misyjnego: nieść słowo Boże najpierw do pogan?

— Panie redaktorze, w pierwszym roku mojego kapłaństwa, na wsi któregoś dnia wypilem szesnaście kaw i zawałem cały harmonogram dnia! To po pierwsze. Tu, w mieście, nie mamy wiele czasu na to, by rozkoszować się kawą niemal w każdym mieszkaniu. Ale kilka herbat, jak się to mówi, zaliczamy,

choćby dlatego, że w blokach powietrze jest bardzo suche, więc trzeba odświeżyć struny głosowe. A wtedy nie rozważam problemu, u kogo mam usiąść do tej herbaty czy kawy.

— Czyby wznoszą nową świątynię. Czy ten wysiłek integruje społeczność parafialną? Czy wizyty to okazje do mobilizacji na rzecz budowy?

— Budowa świątyni bardzo integruje parafian, jest ona widomym znakiem zaangażowania, świadectwem ich wiary, pracy, ofiarności. Ale wizyt nie wykorzystujemy do propagandy na ten cel. Jeśli ktoś w trakcie wizyty zapyta o budowę, to odpowiadamy, natomiast unikamy wtedy mobilizacji, zachęcania itp. Nasi parafianie, patrząc na postępy robót, sami wiedzą, co trzeba. Te ogromne tłumy, w każdą niedzielę zgromadzone wokół tymczasowej kaplicy, często na mrozie, wiedzą, jak bardzo świątynia jest potrzebna.

— Po generalnym remoncie kościoła w pewnej znanej mi parafii jego proboszcza natychmiast przeniesiono do innej, gdzie zarysował się strop tamtejszego kościoła. Czy ksiądz proboszcz należy do takich wędrownych budowniczych?

— Wybudowałem kościół w Grabówkach i Plebanie, obecnie cały zespół sakralny w parafii Czuby. Buduję też kaplicę szpitalną przy PSK 4 na ulicy Jaczewskiego. Jest to odpowiedź na współczesne potrzeby Kościoła polskiego. Przez dziesięciolecia zgromadziły się ogromne zaniechania w dziedzinie budownictwa sakralnego. Miasta się rozrastały, a świątyni nie przybywało. Ksiądz biskup skierował wielu młodych księży do tych zadań i mój przykład nie jest jakimś wyjątkiem. Cieszę się, że Pan Bóg dał mi tyle siły i wytrwałości, iż mogę podolać tym obowiązkom.

— Trzeba przyznać, że zespół sakralny na Czubach to piękna wizytówka zasobów tych sił i wytrwałości...

— Oddajmy jednak sprawiedliwość i naszym parafianom. Bez ich udziału byłoby to po prostu niemożliwe.

— Proszę księdza, zakończmy naszą rozmowę tymi sentymentami. Życzę księdzu proboszczowi nowych sił do pracy duszpasterskiej, wytrwałości na nwie hudołwanej, a od siebie i redakcji mojego pisma — pogodnie uśmiechniętych świąt i Nowego Roku

Rozmawiał: Henryk Pająk



**B**YŁA sytuacja, Cieslaków ze wsi z Cieslakami z kolonii. 'Ci se' wsi nawet swoją drogą pozwolili jeździć tym z kolonii. Zeby mieli blisko do szosy, a nie brechtali się w błocie okrężnym gościńcem.

— Jedni drugim szli na rękę. Święta rodzina w Woli Chomejowej była — komentuje wief.

Była sytuacja. Była droga. Nie ma sytuacji, nie ma i drogi. Została nienawist.

Dom Teresy i Józefa Cieslaków, po wiejskiej stronie szosy. Gospodyni organia się ode mnie jak od muchy:

— Po co to pani?! Już tu jedna była, napisała... Ja tu już nic więcej nie powiem!

Ale mówi, z trudem przełamując opory przed prasą:

— Świat nie słyszał, ile to zdrowia, pani, człowiek namarnował przez takich sąsiadów. Kto by się spodziewał?! Żadnej drogi tu nie było, przejazd tylko żeśmy mieli na pastwisko. To żeśmy im powiedzieli, że też mogą jeździć. Ratowaliśmy, jak mogli. I do spawarki se szli, i do betoniarki... I traktora człowiek pożyczyl. No i nam za drogę odrabiali. Prawda. Ale jak im rogi urosły, to żeśmy powiedzieli: nie! Przez nasze pole przejazdu nie będzie! Moja droga czy nie?! Wolno mi. No to oni nam kolegium zrobili u naczelnika, a potem do sądu podali.

— Człowiek, pani, nieuczony po sądach chodzić, nie wiedział, jak się prawować. Ale mus był. Swoją drogę na okrągło kolonia ma. Sąd przyznał nam rację. Ale zrobili drugą rozprawę i kazali dać tę drogę konieczną. Sędzina inna była, to może przekupiona, nie tak? Ale żeśmy się znów odwołali do Lublina. Swojego nie popuścimy.

— Pani, to jest walka trzech na jednego. Bo tak: Eugeniusz Cieslak, Józef Cieslak — jego sąsiad, i Gajda Jan. To wrogi. Tych trzech z kolonii o moją własność walczy. Oni są silni, forsiaste, przemądrzałe. Wielkie siłaki, hambry straszne. Kary na nich nie ma żadnej. Ale po co ja to pani mówię?... Znowu się to przeciw nam obróci...

— Niech pani powie, dlaczego zabroniliście sąsiadom z kolonii korzystania z waszej drogi? — pytam, bo tekstu koleżanki z „Kuriera” nie czytałam.

— Oj, pani... — macha drutem do robótek Cieslakowa. — Dlaczego i dlaczego! A dlatego: że droga była i jest nasza.

Wchodzi Józef Cieslak. Niewielki, błąd mężczyzna. Cieslakowa przy nim jak piwonka, podczerwieniona z emocji.

— I widzisz! I znów nas będą opisywać — śmieje się nerwowo do Ciesłaka.

— To jest tak — mówi spokojnie Cieslak, siadając ciężko przy piecu. — Dokument zatwierdzony przez wszystkie prawa mam. że ta ziemia jest moja. Podatek płacę. Ja tylko bronie swo-

jej sprawy. Niech każdy pilnuje swojej własności. Ja się im na pole nie wpięprzam, a oni mi na moje gruzi nawieźli, żeby rów zasypać...

— No to my sobie rów odkopali... — wtrąca Cieslakowa.

— Rozmawiałem z Eugeniuszem. Odstąpił, mówię, na parę lat, rana się zagoi, a potem wejdiesz na te same drogi... — kontynuuje Cieslak. — Odstąpił, myśli pani? A do sądu mnie podał! Chce postawić na swoim; on z tymi dwoma poplecznikami. „Będziem jeździć i gówno nam zrobisz”.

— I widzi pani: ich trzech na mojego jednego. Jak pięść do nosa ten mój chłop do nich. Po trzech operacjach... My Ciesłaki i one Ciesłaki, ale to żadna rodzina...

— Jak była sytuacja, to dawałem drogę jeździć, ale jak się zachowali w niegodny sposób, to ja im wymawiam.

— Co takiego się stało, panie Cieslak?

— A za córkę to wszystko. Myśmy dali naszą Agatę za brata tej z kolonii, Eugeniusza Ciesłaka żony. W Olszewnicy se mieszkają. Dobrze gospodarzą. Tamta rodzina bardzo Agacie dokucza. Jakaś wielka zardzość panuje, czy co?! Im to kolko w oczach, że to dom se młodzi stawiają. No i teściowa, co z nią mieszkają, matka zięcia mordą chłapie. Stara, do roboty niezdatna, ale do przekłunów to akurat. Ze Agata niby do wszystkiego weszła — tak gadają. Chociaż się wywianowało, nie posłało jak bidotę. No to jak oni mojemu dziecku tak, to ja im z drogą tak.

— Ja pani powiem: idzie bida drogą, kopnij ją nogą. Nie lituj się. Jak dałeś chwilowo, to ci wejda na calkiem — dodaje Cieslakowa. — My żeśmy do nich z sercem, a oni nas rogami. Jakby człowiek miał siłę, to by pieprzył w łeb, a tak? Słaby nie ma życia i najbardziej cierpi.

Po drugiej stronie szosy, tam gdzie kolonia, opozycja w komplecie: dwóch Cieslaków — Józef i Eugeniusz oraz Jan Gajda. Wraz z żonami.

— Do kopania się chodziło, do maszyny — pochlipuje Gajdowa. — A teraz mówią, żeśmy nie odrabiali. Gdzieś dwa lata temu my jechali z mężem z sianem, a ona wyszła i powiedziała, że na ten raz możemy jechać, ale tu już więcej drogi nie będzie. Po tamtej stronie szosy pole mamy, to z dziesięć razy musimy obracać na dzień, żeby zwieźć. Tą okrężną drogą... A przez pole bliźniutko... Jak se wspomnę, to zaraz serce mnie sciska... A mleko wywozimy aż pod las. Pani, jak zsiadam z rowera, to słowa nie mogę wypowiedzieć ze zmęczenia. Czy to kto widział tak się mordować, w dwudziestym wieku?

— Ze trzy razy proponowaliśmy dziewięć arów łąki obok. Trzy razy

tyło, co im ta droga zabiera — mówi Gajda. — Józiek, mówię, zapłacę ci albo dam to pole... A on nie i nie.

— To było w 69 roku — relacjonuje Józef Cieslak z kolonii. — Na wiosnę poszliśmy z Eugeniuszem Cieslakiem, jeszcze nieboszczyk ojciec Józka żył, i ustaliliśmy, że będziemy odrabiać za drogę po dniu na rok. Gdy zaszła sprawa iść do roboty, to się szło.

— Mam syna. Chodził przez miedzę, na skrót do autobusu, do szkoły jeździł. Jak zabronili, to rzucił chłopak szkołę i mnie, i do Swidnika się przeniósł. Jak nie wygramy, to ja też rzucę wszystko w cholere.

— Pani, i jeszcze jedno. Ojciec mój był sołtysiem. Szosę robił. Gdzie się nie najędził, gdzie nie nazalował... A teraz co? Ja, syn jego, żeby do tej szosy prostego dostępu nie miał?!

— Przystanek tu blisko, szkoła blisko... Można powiedzieć: pod nosem — płacze Cieslakowa, żona Eugeniusza. — A dzieciaki muszą na okrągło

szczają. I mamusia się buntuje. A czy, to mnie mamusia taką prakę kupiła, czy Agacie?

— Diabeł wstąpił pomiędzy nas i panuje. To, pani, nie jest sprawa własności. To jest sprawa podłości. Obym ja miał, a ty się, cholero, męcz!

— I wie pani, co wymyślił? — dodaje ze śmiechem Eugeniusz. — Kapliczkę se postawili na środku tej drogi. Zeby przejazdu nie było. Sąd kazał drogę dać, a oni się Jezusem zastaniają.

Stoi kapliczka. Solidna, murowana. Figura Chrystusa w purpurowym płaszczu za szkłem. Sztuczne kwiatki.

— Jak żeśmy wygrali na drugiej rozprawie, to postawiliśmy kapliczkę. Zeby już nikt do naszej drogi prawa nie miał. Mąż sobie sam płotki porobił, gablotkę, a Osobę kupiliśmy w Łukowie. Postawiliśmy, żeby każdy wiedział, jaki wielki ciężar dźwigamy, jaki wielki krzyż. Jak Chrystus — rozrzewnia się Teresa Cieslak.

## A ONI SIĘ

### Ewa Czerwińska

chodzić. Jak jest zawieja, to skostniałe wracają...

— A czy my tą drogę chcemy darmo? I pół miliona byśmy dali — mówi Eugeniusz Cieslak. — I teraz byśmy się pogodzili. My całkowicie dobrze żeśmy żyli przez te dwadzieścia lat. Ale jak brat mojej żony ożenił się z ich Agatą, to moja i jej dwie siostry o spłatek po rodzicach się upomnieli. I Tomek rzucił tego spłatku po 200 tysięcy dla każdej. Od tego czasu, jak dał te pieniądze, Teresa zaczęła robić przycinki.

— Dla niego ten spłatek jak dla psa mucha — dopowiada żona Eugeniusza, Janina. — Oni mówią, że moja rodzina źle traktuje Agatę. To prawda. Ale dopiero po zamknięciu drogi. Ja niepamiętliwa, ja zgodna. Jeszcze dziś bym się pogodziła.

— Pani, prokurator był oglądać drogę. Jak obejrzał, to pyta: „Możecie sobie podać ręce?” A gdzie tam! A biegły sądowy to inaczej mówił? „Jak wy możecie tak bez drogi żyć?” Dlaczego ta Teresa tak się dzisiaj zadławiła? Czy to ona wieczna będzie?

— Mamusia moja z Tomkiem i Agatą mieszka. Ale siedzi sama jak ten kolek. Wnuczków do niej nie pu-

— A dlaczego mieszacie do tego Chrystusa? Ludzkie sposoby nie wystarczą?

— To, jeszcze raz mówię, dla ludzi. Na pamiętkę naszego sporu. Zeby tak każdemu każdemu nie dawał przejazdów. Bo za dobre złem się płaci. Zeby był ten pamiętnik na przestrożę.

— W końcu sąd zasądził jednak na waszą niekorzyść... Co będzie z kapliczką?

— Ja już innej obrony nie miałem — mówi cicho, z rezygnacją Józef Cieslak. — A co będzie?...

— Aaa! Nie wiem — włącza się znów Cieslakowa. — Jak ksiądz będzie chodził po koledzie, to mu się spokojnie powie, jak i co. Jak zechce, to poświęci. Odwołaliśmy się do Lublina. Będziem walczyć.

Na kolonii komentują inaczej. — Kapliczkę postawili na zemstę — twierdzi Eugeniusz Cieslak.

— Ale! Pani! — podrywa się Janina, żona Eugeniusza. — Zeby Pana Jezusa postawić na zemstę?!

— Takie religijne? — włącza się Gajdowa. — A to nawet w Ewangelii

bym wysłuchała opowieści o miłości, samotności i rozpocy.

### To nie była miłość od pierwszego wejrzenia.

Ani też od drugiego. Zanim wzięli ślub, byli ze sobą ponad sześć lat. Długo to czas, by się poznać, ocenić, zrozumieć. Uczucie przychodziło powoli. Dojrzało w nim i umacniało się w miarę upływu lat, które z nieuchronną konsekwencją wybijały mu najpierw piąty, a potem szósty krzyżyk. Potęgowało się wraz z siwymi włosami, coraz bardziej szroniącymi skronie, i chorobami, których pojawienie się świadczyło o upływającym życiu.

Słowa przysięgi składane na krzyż święty: „i nie opuszczę cię aż do śmierci...” dawały poczucie pewności, stabilizacji i bezpieczeństwa.

— Kasia była bardzo religijna — mówi. — Spać się nie pożyła, jeśli nie odmówiła pacierna. Byłem po rozwodzie, więc nie mogliśmy wziąć ślubu kościelnego, a jedynie cywilny. Ale krzyż do ręki dałem. O, o... tu klęczała i na wszystkie świętości przysięgała.

Siedzimy w dużym pokoju na parterze okazałej willi. Wielki stół na dwanaście osób obstawiony jest wysokimi, stylowymi krzesłami. Ścianę za moimi plecami zajmuje taki sam stylowy bafek. Wszystko wykonane z czarnego drewna. Na półkach porce-

# KASIA OD CYGANÓW

## Isabella Wlazłowska

**B**IAŁA, ślubna sukienka leży na wierzchu wielkiej sterty szmat. Pożółkła, wymięta, zszarzała od brudu, porzucona w nieładzie, leży i urąga. Urąga przykazaniu boskiemu i ludzkiej przyzwoitości.

Przystanął za mną. Cicho wymawia słowa: „Biorę ciebie za żonę i przysięgam ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską i to, że cię nie opuszczę aż do śmierci...”

Sterta szmat zajmuje środek dużej sypialni. Wzdłuż ścian ustawione białe meble z bogatą, złotoną ornamentyką, wielkie małżeńskie łóżce, szafki, stylowe lampy, w oknach drapowane firanki. Podłużne lustro, wmontowane w drzwi szaf, odbijają obrazy i powielają w nieskończoność leżące na podłodze rzeczy.

Oto wszystko, co pozostało.

Zaczyna monotonna wylizkać:

— Sio dwadzieścia par rajstop, sześćdziesiąt dwie pary majtek, kilkadziesiąt hulek, staników, bluzek, spodnic,

sukienek, wiele par różnorodnego obuwiwa...

W pootwieranych szafach cicho skrzypią drzwi, popychane ręką przechodzącego obok nich mężczyzny. Ich czeluście zięją pustką opróżnionych półek.

Siedzi z pochyloną na piersi głową. Mimo woli przygląda dłońmi siwe, mocno przerzedzone z przodu włosy.

— Przed udaniem się do sądu oznajmiła mi, że Doktor powiedział, że ona musi ze mnie wyegzekwować nie mniej jak sto milionów złotych, bo tyle jej się należy. To on nią kieruje, podjudza, napuszcza. To on chce tych pieniędzy.

Na samo słowo „Doktor” wstrząsa nim, jakby miał febrę. Sięga po paczkę „Marlboro” i zapala papierosa.

— Zawsze paliłem „Marlboro” — mówi, jakby chciał się usprawiedliwić. — Niektórzy mają mi za złe, że puszczałem z dymem tyle tysięcy.

Przerywa na chwilę, a potem kończy, patrząc mi prosto w twarz:





Józef Cieślak: „Ja tylko bronię swojej sprawy”



Solidna, murowana...



Janina Cieślak: „To nie jest sprawa własności, to jest sprawa podłości”.

Fot. WALDEMAR STĘPIEŃ

## JEZUSEM ZASŁANIAJĄ

jest napisane, żeby każdym kubkiem wody się podzielić. No nie tak? Jakbym kupiła bułkę chleba, a pani by nie miała, to bym nie dała?  
— Są ludzie i taborety, no nie? — konkluduje młodzieżowo syn Gajdów.

Jadę do Tomasza i Agaty, do Olaszewnicy. Żeby się dowiedzieć, czy o ten „splatek” chodziło.

— To mnie wkurwia najgorzej, że do gazety takie rzeczy się pisze — wita mnie w progach nowego domu Agata Fijałek. — Ze „kurwa” za Janina krzyczałam — napisali w „Kurierze”. A to nieprawda. Na co mi się do niej odzywać?!

Napięcie. Młodzi nie chcą rozmawiać. Mają dosyć obnoszenia ich sprawy po gazetach. W końcu Tomasz:

— Ja tego nie rozumiem, jak to można własność cudzą wziąć. To niepodobne. Tam moja siostra Janina, tu moja żona i dzieci. I matka. Ale matka za tamtymi z kolonii stronę trzyma. Oni mówią mi: „Zrób coś!” A co ja mogę zrobić?! Ziemi tęsiom nie wydrę. Nie o ten splatek poszło. Jess-

cze po splatek dobrze było. Gościłmy się, na odpust przyjeżdżali...

— 200 tysięcy, co każda dostała, to wtedy było dużo pieniędzy — uspokaja się Agata. — 20 tysięcy świnia wtedy kosztowała. To o co im chodzi? O ten dom, cośmy sobie postawili? Zadzroszczą? To tęsiowa plotek narobiła...

Apolonia Fijałek, matka Tomasza i Janiny Cieślak z kolonii, w starym domu, obok nie wykończonej jeszcze willi:

— Taki był powód, że... nie było powodu — rozkłada ręce na pierzynie. — Drań Teresa, tęsiowa syna. Ze nie daj Boże! Syn dobry je, tylko go zmamili. Samo nie wiedziało, co robiło — rzuca do Tomasza, który stanął w drzwiach. — Czy to ono ma za koleją wo łbie? Zdużniało ze szczętem! Tyś był bratem, tyś był synem, a teraz co się z ciebie zrobiło?! Ze się odgruzujemy Agacie? A przecie przyszła na wszystko...

— I to jej wypowiedziane — odpowiada matce Tomasz.

— Ej ty ploto! Ty żeś zbaraniał całkiem — podnieca się Apolonia Fijałek.

— Nie trzeba było z kijem skakać, jak przyjechali ojcie Agaty.

— Kto skakał, kto skakał?! Żeś ją przyprowadził, to niech se siedzi, czego nie... Nie odzywa się. A ja rentę mam, życie dobre. Ale jak ty możesz dopuścić, synu ty, żeby tam dzieci twojej rodzonitkiej siostry drogi nie miały? Tułali się tyła na okrągło? Co za złe duchy tu wpadli...

Wiesz sądzi.

Sąsiad z kolonii, także Cieślak: — Barbarzyństwo to jest. Jakbyśmy zaczęli zabierać drugim te drożki, to by cała ziemia na to poszła. To Józka ojcowa. Jego prawo. On se może z tym zrobić, co chce. Ja mam drogę, bo mi ojciec kupił. Myśli pani, żeby mi kto dał? Tylko dwóch ma drogi, drugie na okrągło jeżdżą, i dobrze jest. — Jakby się nie prawowały, to by może tą drogę miały, a tak?

— Każdy dzisiaj swoim włada, co tu mówić, pani kochana — popiera sąsiada Piotr Rajkowski. — Jedzie się na czym wozie, a każą, to się złaź. Tylko świnie leżą w czyje. Wcześniej pomagali se, pewnie. Wyszło na to, że za twoje żyto w tyłek cię wybito.

lana, szkło, alkohole z Peweksu. — Chciała barek, to jej kupilem — mówi. — Ponad trzy tysiące dolarów zapłaciłem. Ze Swarzędza przywieziony.

W tej willi nie ma innych mebli jak tylko ze Swarzędza. Są jeszcze antyki. Dużo tego. Szczelnie wypełniają liczne pokoje tego dwurodzinnego domu. Domu wybudowanego na działce, której połowa zapisana jest na nią, a połowa na niego.

Zdzisław Bogucki opowiada o swoim życiu:

— Wywodzę się z przedwojennej rodziny kupieckiej. Ojciec zajmował się handlem, a matka domen i dziećmi. Pamiętam, że ojciec lubił dobre papierosy i drogie trunki. I to mi ohyba po nim zostało. Dużo nie piję, ot, kieliszek, dwa, ale za to wyłącznie drogie alkohole. Interes ojca przechodził różne koleje losu. Były wloty i upadki, podobnie zresztą jak i u mnie. Ale jedno jest pewne — przez moje ręce przeszła niewyobrażalna ilość pieniędzy, choć bywało i tak, że stałem na granicy bankructwa.

— Od 45 lat działam w branży rozrywkowej, jeżdżę z wesołym miasteczkiem po Polsce. Mam wagony mieszkalne, gry automatyczne, własny transport, warsztaty i kilkudziesięciu zatrudnionych ludzi. Przez kilka lat prowadziłem też interes za granicą. Ludzie z branży znają mnie dobrze. Moje słowo warte jest więcej niż kredyt w banku. Jest po prostu pewniejsze

i poparte twardą walutą. Wielu ludziom, którzy zaczynali u mnie pracę, pomogłem dorobić się dużego majątku.

— A wie pani, kiedy zacząłem zajmować się interesami? Jeszcze przed wojną. Miałem 14 lat, kiedy poza plecami ojca uruchomiłem „przedsiębiorstwo” skupu butelek. Interes szedł dobrze. I nie musiałem czekać na kieszonkowe od ojca.

— W 1950 roku kupiłem pierwszy samochód — „Tatrę”. Samochód stał pod domem, a ja robiłem dopiero prawo jazdy... I teraz, kiedy słyszę w sądzie, że Kasia miała tyle drogiej rzeczy, taki majątek, ogarnia mnie po prostu pusty śmiech. Tak. To prawda. Ona to wszystko miała. Tyle tylko, że dzięki mnie. Podczas jednej ze spraw sędzina zapytała mnie, co Kasia wniosła do małżeńskiego majątku. Odpowiedziałem, że siebie. A jej wujek, który zeznawał w sądzie jako świadek, powiedział: „Koszułę i majtki”. Bo wziąłem ją od Cyganów w jednej różowej, wyjściowej sukience.

Był początek lat siedemdziesiątych. Zdzisław Bogucki mieszkał w Katowicach i tam prowadził swój interes. Wiodło mu się nie najgorzej. Miał za przyjaźnioną rodzinę bogatego Cygana, który również działał w branży rozrywkowej. To jego siostra dała ogłoszenie do gazety, że zatrudni u siebie młodą dziewczynę.

Na ogłoszenie stawiała się Kasia. Przyjechała z dalekiej, zabitej dechami, biednej kieleckiej wsi. W tym

czasie żona Cygana urodziła kolejne dziecko. Po namyśle nie przyjęło Kasi do interesu, ale do pomocy przy dzieciach. Od razu dostrzeżono, że jest cicha i pracowita. Wkrótce wszyscy Kasię polubili i doszło nawet do tego, że Cyganka wolała zostawić klucze od mieszkania młodej pannicy niż własnemu mężowi.

Zdzisław Bogucki często odwiedzał przyjaciela Cygana i to nie tylko z powodu wspólnych interesów. Samotny mężczyzna nie zawsze wiedział, co ma ze sobą zrobić. Jego samotność potęgowały jeszcze stresy spowodowane odejściem żony do innego mężczyzny.

Któregoś grudniowego dnia, wracając do domu, zobaczył w oknach mieszkania Cygana palące się światło. Drzwi otworzyła Kasia. W mieszkaniu byli goście. Kasia podała kawę i koniak. I wtedy to właśnie Cygan powiedział:

— Wiesz, Zdzichu, tobie to by się przydała taka żona jak Kasia. Pracowita jak mrówka, dobra, spokojna.

Bogucki zaczął jej się przyglądać. Nic szczególnego nie dostrzegł. „Taka sobie — pomyślał. — Tyle, że młoda”. Lecz gdy wychodził, zagadnął Kasię: — A może byś Kasiu umówiła się ze mną? Pójdziemy do kawiarni.

— Teraz nie mogę. Wyjeżdżam z państwem i dziećmi na święta do Zakopanego.

— No a jak wrócisz?

— Dobrze.

— Gdzie się swoje psy kasaają, niech się obce nie mieszają — odzywa się od kuchni Rajkowska, którą, widąc, denerwuje gadatliwość męża. — A wy co dobrego robicie? Jak żeście mogli taki tytuł napisać: „Chrystus Chomejowy”... Kpić chcecie? Igrać z Panem Bogiem?

Teresa Białucha, sklepowa:

— Tamci szyderycy. Oni się tylko śmieli, że zwalczyli tego małego Józka. Mnie to się płakać chce... A Teresa... Ona się zrobiła taka nerwowa, że wstydzi się do kościoła pójść. Jak by jej kto świat zamknął. Dali kiedyś korzystać z drogi — to fakt. Teraz nie dają — ich prawo. Dobrzy, uczynni ludzie... Czemu im tak zdrowie marnować?

Halina Nowacka:

— Przynajmniej mi się wydaje. ścieżkę powinni dać — do szkoły i po chleb. Widzi pani, to jest tak: po sąsiedzku to każdy się nie odzywa, a z daleka to przyjaźń... A wie pani co? A przy domu to nie mogli postawić tej kapliczki? Święte rzeczy, cholera, wystawili na pośmiewisko. Wstyd.

Ksiądz proboszcz:

— Jedna strona ma swoje argumenty, druga swoje. Jedni i drudzy cierpią. Fakt, że jeśliby chcieli mieć kapliczkę, to mogliby ją postawić na innym miejscu. A tak — wykorzystali Boga i obiekt kultu dla własnych celów. Na pewno nie w duchu katolickim ta kapliczka, nie z pobożności. Ona ma łączyć, a przecie dzieli. Bóg, owszem, jest po to, aby łagodzić ludzkie konflikty... Ale nie w ten sposób.

Był 6 stycznia 1974 roku. Kasia została w mieszkaniu Zdzisława Boguckiego i już go nie opuściła. Miała wtedy 24 lata, a jej pracodawca i późniejszy mąż był o 28 lat od niej starszy.

— To była umowa między nami — mówi teraz starszy mężczyzna. — Powiedziałem jej: „Będiesz prowadziła mi dom i doglądała interesu, kiedy muszę wyjechać. A ja zapewnię wszystko, co będzie ci potrzebne. Wyślę cię na kurs, pomogę załatwić uprawnień, dam w agencję kilka imprez. W życiu nie będziesz już więcej służącą”. Zgodziła się, a ja słowa dotrzymałem. Najpierw ją ubrałem...

Przerывa na chwilę, uśmiecha się i patrzy filuternie na mnie:

— Wie pani, jak to jest? Najpierw trzeba kobietę dobrze ubrać, aby potem było ją z czego rozbierać. Bo kobieta, z którą jestem, musi być moją wizytówką. A Kasia szybko nauczyła się nosić drogie ubiory, piękne obuwie, futra, biżuterię.

To było w Zakopanem. Siedzieli ze znajomymi w nocnym lokalu. Kończył się program artystyczny.

— Ale ona ma piękną suknię — powiedziała nagle Kasia, patrząc z zachwytem na występującą artystkę.

— To ja ci zaraz ją kupię — usłyszała.

Rozmowa w garderobie była krótka:

— Ile pani chce za tę suknię?

Dokończenie na str. 6—7



## Azerbejdżan

**M**ORZE Kapijskie, słono-gorzka woda, wysoka, huśtająca fala i porażające słońce — chowamy się przed nim pod daszki, przypominające do złudzenia przystanki MPK. Wysoki stopień zasolenia sprawia, że pływa się łatwiej, woda ciepła — siedziałbym w niej cały dzień, choć w Bałtyku nie wytrzymuję 20 minut. Nasz kierowca, o dźwięcznym imieniu Iskander, trzyma się na uboczu. Flekroć któraś z córek Zemy przysiedzie w pobliżu, jest przez matkę odpedzana. Pytam Zemę o co chodzi.

— On jest tutejszy, południowa krew. Nie trzeba, żeby rozmawiali.

— Ja też nie mogę?

— Nie. Ty możesz.

Korzystam z przywileju i siadam koło Esmiry, która studiuje rusycystykę w instytucie pedagogicznym.

— Małgorzata mówiła, że trafiłem — to twój chłopak wydzwaniał do ciebie po całych dniach?

Esmira kocha dzwonić, lapie słuchawkę o siódmej rano, by rzucić ją na widełki o drugiej w nocy, oczywiście z przerwami na posiłki i zakupy. Po którymś brzęczeniu dzwonka nie wytrzymałem i krzyknąłem: — Esmira, wлюбionnyj! I tak zostało.

— Nie tylko on — odpowiada.

— U was jest przyjęte dzwonić do kogoś o północy?

— Oczywiście. W Polsce tak nie dzwonią?

— Nie.

Teraz ona się dziwi.

— Jak wam się układa? — pytam.

— Chodzimy cztery lata ze sobą. Trudno to nazwać chodzeniem — dzwoniły do siebie, widujemy się bardzo rzadko, kiedy wyskoczę po zakupy sama. Najczęściej ojciec albo matka idzie ze mną.

— Nie jeździsz sama do centrum?

— Nie wolno mi. Rzadkie są rodziny, które pozwalają córkom żyć swobodnie, na sposób zachodni.

— Przecież do końca wieku zostało jedenaście lat! Żyjesz w dwumilionowej metropolii.

— To nie ma znaczenia. W Baku duży wpływ mają tradycyjne normy życia, uformowane przez wieki, islam...

— Nie modkicie się regularnie, pijecie alkohol.

— Pewne ustępstwa wynikają z tempa życia, rozwoju techniki — nie będziesz się modlił w fabryce. Kobiety nie piją, wiele spraw dzieje się po staremu.

Przypominam sobie dziwny paragraf tutejszego kodeksu karnego, skazujący mężczyznę na surowe kary za współżycie z inną niż żoną kobietą, żyjącą pod tym samym dachem. Surrealistyczny charakter tego przepisu okazał się samym życiem, jeżeli się uwzględni, że pod szyldem pokojówek, pomocniczek domowych, gospodyń mężczyźni trzymali drugie żony, zakazane przez państwo radzieckie.

— No a twój chłopak?

— Zaręczył się z dziewczyną, której nie kocha — kazala mu matka. Odwleka wesele już parę lat, każę mu się żenić — jeżeli tego nie zrobi, ona nie wyjdzie za mąż. Nikt jej nie weźmie po zerwanych zaręczynach, nie chcę jej mieć na sumieniu. Za parę lat postąpię tak samo: wyjdę za tego, kogo każę poślubić matką.

— Nie możecie rzucić wszystkiego, wyjechać?

— Można, ale trzeba być silnym. Mnie na to nie stać. Przyszłyby dzieci, trzeba byłoby zwrócić się do rodziny, do znajomych — oni wszystko by wiedzieli. Nie! Nie chcę porzucić rodziny.

— Przecież możesz porozmawiać z matką, ojcem.

— Oni słyszą, kiedy tamten dzwoni, wściekają się, ostatnio mama wzięła słuchawkę — na szczęście dzwoniła przyjaciółka. Wiedzą, ale udają, że nie wiedzą. Myślisz, że kiedy pracowałam na wsi (Esmira studiuje zaocznie), miałam więcej luzu? Strzyj odwoził mnie z domu do szkoły; kiedy kończyłam pracę, przyjeżdżał po mnie, ładował w domu. I tak przez cały rok, dzień w dzień.

**M**IMO spędzenia prawie całego dnia pod dachem i w wodzie, namiętnie jesteśmy obolali, okazuje się, że nawet skromnie dawkuje odśnieżenie, przedobrzyliśmy — skóra z zębami musi być w pełni koszałką.

Niemniej Zema niestrudzenie umawia nas na spotkanie z młodym przedstawicielem organizacji Ana Dieli, co po polsku wyklada się: Język Ojczyści. W kawiarence na nadmorskim bulwarze witają nas Fizuli Achmedow i Tiejmur ogly, Szamir Achmedow i Machmudow i typ w malowniczej, obszernej osadzie, w wspaniałej rozwiną brodą — Agajew Mazaohir Babasz ogly z żoną. Typ okazuje się artystą malarzem, a jego żona, przysłuchując się moim skomplikowanym naradom z Małgorzatą nad wybraniem najodpowiedniejszego rosyjskiego równoznacznika, podsuwa raz i drugi słowo — polskie, to rosyjskie. Studiowała na wydziale tkaniny we Lwowie razem z Polakami.

Fizuli tłumaczy cierpliwie:

— Dla nas Ormianie są małym problemem. Na razie wygląda tak, jakbyśmy byli trzymani za ręce: oni mają lepszą propagandę, wtyczki w moskiewskiej prasie — wszystkie gazety za wyjątkiem naszych piszą po ich myśl. Prowokują wojnę. Myślimy nie o dziś, ale co będzie jutro i pojutrze, dlatego pragniemy zająć się narodowym językiem, historią, która przez społeczeństwo jest jakby lekceważona, kultura, ekologia, literatura narodowa. Chcemy stworzyć mocną podstawę świadomości narodu.

Po raz pierwszy w czasie naszego pobytu w Azerbejdżanie oprócz uty-

— Tylko tak — zapewnia — bo widzisz, dzisiaj nikt nie myśli o Chinach, a jest to kolos, który gdy się ruszy, może być nieobliczalny. Tylko narody tureckie i słowiańskie będą w stanie go zatrzymać.

Ten typ rozumowania, bez względu na stopień abstrakcyjności, bardzo mi się podoba. Pytam niewinnie:

— A dużo was jest?

— Wszystkich narodów i narodowości tureckich lub pokrewnych będzie 140 milionów.

To już jest coś.

Postanawiamy zjeść lody w bańniowej, wykładanej błękitnymi kobiercami kawiarence i obejrzeć unikalne muzeum dywanów. Do lodów kawa, orzechy i napój cytrynowy. Na zewnątrz wściekle gorąco, w lokalu klimatyzacja. Z głośników dobiega się głęboka, przepastna muzyka.

— Co to jest?

— To perskie. (Powiedział: farsyjskie).

— Stara muzyka?

— Nie, współczesnego kompozytora.

Nie pamiętam nazwiska.

Słuchamy w skupieniu.

— Moja matka bardzo ją lubi — powiada Szamir. — Słucha i płacze.

— Dlaczego?

— Tak ją porusza. Rozumie zaledwie co dziesiąte słowo z perskiego.

Mój Boże, czego to ja tak słuchałem? Ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu. Jak człowiek kostnieje —

## MIEDZY PRAWDĄ A NIENAWIŚCIĄ

Adam W. Kulik

skiwań i bezradności usłyszałem trzęsawą ocenę sytuacji i program działania, może nieefektywny, ale wart starania. Nie sądzę, żebym przeceniał tych chłopaków, widać było, że swoje wiedzą i swoje zrobią.

— My nie jesteśmy Azerbejdżanami — słyszę i jestem zaskoczony. — Do lat dwudziestych wpisywano nam w paszporty narodowość turecką, teraz piszą: azerbejdżan. Jesteśmy Turkami, a Azerbejdżan to nasze ziemie, nasze państwo. Nasz język w dziewięćdziesięciu procentach jest tożsamy z językiem Turków żyjących w Turcji. Chcemy, żeby z powrotem przywrócono prawidłowe określenie naszej narodowości. Starsi boją się, oni pamiętają prześladowania, szykany. Moje pokolenie nie boi się niczego. „Solidarność” też robili młodzi — byłem u was w 78 roku, to była dla mnie lekcja!

— Wiem że Piłsudski finansował naszą emigrację na Zachodzie? — wtrąca Szamir.

Przyznają, że nie.

— W roku 20. walczyliśmy jak wy z Rosjanami. Zapisaliście się dobrze w naszej historii. Wasi naukowcy przyjeżdżają tutaj, szukają śladów działalności Piłsudskiego, od nich tyle wiem.

Nie bardzo umiem poradzić sobie z ich optymizmem, przecież Turcy dopuszczali się od wieków strasznych rzezi w tym kraju, jeszcze w 1918 rządzili się z Ormianami, Rosjanami, ale przecież i z „przeklętymi szyitami”, czyli rdzenną ludnością azerbejdżan. Szamir nie czeka:

— Starsi do dziś mają pretensje do Sobieskiego, że nie dał podbić Europy.

— Zartujesz?

— Nie, ale my tak nie sądzimy. Turcy z Azerbejdżanu czy z samej Turcji pragną nawiązać bliższą więź ze wszystkimi Słowianami, co o tym myślisz?

— Jeżeli to ma być coś w rodzaju rosyjskiego panslawizmu, nic z tego nie będzie. Polacy nie pozwolą sobie niczego narzucić ani dać się zdominować. Na zasadach uczciwego partnerstwa owszem.

z wielkim optymizmem pracujemy nad sobą, by się odczłowieczyć...

**P**IERWSZE w świecie muzeum dywanów perskich — bo taka nazwa przysługuje kobiercom tkanym także w Azerbejdżanie — mieści się w XIX-wiecznym meczecie. Jak zwykle przebogaty, koronkowy portal, kojarzący się jakoś z wykwiłtynymi portalami doby renesansu. Wewnątrz żadnych ozdób, jest tylko mihrab — wnęką wskazująca stronę, gdzie znajduje się Mekka, i kolumny dzielące umownie przestrzeń nawy.

Ekspozycje odnoszą się do poszczególnych regionów. Dywan to nie tylko piękny przedmiot, przede wszystkim to filozofia życia, zakodowana w znaki, kolory i formy. W kobiercach tkanym w regionie bakińskim dominują ośnie i fale morskie w charakterystycznych kolorach. Dywan z Tebrizu jest najprawdziwszym gobelinem z wyobrażeniem czterech pór roku. Wiodący na nim krzyż nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem, oznacza cztery żywioły: powietrze, ogień, ziemię i wodę. Tonacja kolorystyczna kobierców zmienia się w zależności od miejsca ich wytworzenia. Tam, gdzie przyroda jest bujna, dominują barwy żywe, wesołe, czasem jaskrawe wręcz. W dywanach pochodzących z rejonów pustynnych i półpustynnych przeważają barwy szare, żółte i brązowe. Łatwo wyobrazić sobie całe kolorystyczne bogactwo, jeżeli weźmie się pod uwagę, że na dwanaście stref klimatycznych świata, dziewięć występuje — co mieszkańcy podkreślają z dumą — w Azerbejdżanie.

Pod koniec zwiedzania przewodniczka pokazuje male cudo — zwykły w swej niezwykłości modlitewnik, tkany z welen o naturalnych kolorach, bez użycia jakiegokolwiek farby. Dominują szałojści piaskowe o najróżniejszych odcieniach, ale jest i soczysty brąz, i zaskakujący odcień byczej krwi. Zachwyca niezwykła harmonia wzoru, wysmakowanie. Kontemplujemy długo, przewodniczka uśmiecha się:

— Kosztuje tylko 10 000 dolarów.

(Koniec odcinka 7. — cnd.)

## Rozmowa z dr. Tadeuszem Kobierzyckim, psychoterapeutą

— Nadchodzą Święta Bożego Narodzenia — większość z nas usiadłaby przy wigilijnym stole, w gronie rodzinnym. Jak pan sądzi, czy rodzina, która spotka się w tym roku, będzie tak samo jak dawniej zintegrowana poprzez świąteczne symbole?

— Moim zdaniem — nie. Polska rodzina jest zdeintegrowana; i jeden wieczór wigilijny to za mało, by pomóc w integracji. Sądzę, że mamy wiele zaniedbań, jeżeli chodzi o pracę z rodziną, o kontakty w rodzinie.

Święta już nie integrują rodziny; obecnie nie są to wspólne medytacje, rozmowy i posiłki. Zbyt dużo jest w Polsce ludzi, którzy nie mają szans na integrację świąteczną. Tutaj może mógłby pomóc Kościół.

Podam taki przykład: niedawno studiowałem przepisy etyczne i religijne Żydów. Warto zwrócić uwagę, że na poziomie religijnym jest u nich wręcz obowiązek — i nie jest to obowiązek przyjmowany jako zło konieczne, tylko jako pewna reguła — że co tydzień ludzie spotykają się z okazji dnia świątecznego. Odbywa się wspólna wieczerza, głowa rodziny dokonuje gestów pojedynania z pozostałymi członkami rodziny.

Proszę mi pokazać w Polsce taką sytuację, w której co tydzień rodzice i dzieci mogliby się spotykać i przebaczać sobie. A my nagle w ciągu jednego święta mamy nadrobić to, co przez cały rok zostało nadwątlone lub zniszczone. To niemożliwe, dlatego też w wielu naszych domach katolickich odbędą się spotkania, ale będą one miały charakter polegający na przekazaniu upominków i darów, głównie rzeczowych. Wątpię, by odbywały się tam rozmowy na temat miłości, przyjaźni, więzi uczuciowej. Przypuszczam, że rozmowy będą krótkie, potem zostanie włączony telewizor, który od razu ograniczy możliwość rozwinięcia głębszej myśli.

Oczywiście, na pewno znajdują się ludzie i domy, w których te święta będą miały charakter wzmocnienia integracyjnego. Są jeszcze takie rodziny, gdzie zjeżdża się bliższe i dalsze rodzeństwo, ale sądzę, że ma to charakter autodemonstracji — jest nas dużo, możemy sobie porozmawiać, jak i co załatwić w przyszłym roku.

— A czy sam fakt spotkania nie wystarczy?

— Nie, to nie wystarczy. Bo to są spotkania, w których trakcie ocenia

## KASIA

Dokończenie ze str. 4-5

— Ona nie jest do sprzedania. To suknia z Paryża.

— Ile?...

— Dwadzieścia tysięcy.

— I jeszcze pięć dla mnie — dorzucił impresario — bo muszę załatwić inny strój.

Starszy mężczyzna kiwa głową: — Tak. Tak było. W chwilę potem Kasia miała już suknię. A wie pani, ile wynosiła wtedy średnia pensja w Polsce? Około czterech tysięcy złotych.

Był rok 1980. Datę ślubu ustalono na lipiec.

— Mam teraz do niej ogromny żal, bo to ona miała prawo wyboru. Do ślubu jej nie zmuszałem. Wiedziała, ile lat jestem od niej starszy. Zgodziła się wyjść za mnie. Już wtedy była właścicielką połowy placu pod domem, który właśnie został wybudowany, abyśmy jako małżeństwo mieli gdzie mieszkać. Była też właścicielką części urządzeń i transportu w moim interesie, bo wie pani, przepisy tak mnie wtedy ograniczały, że mogłem zatrudnić tylko pięć osób. Musiałem więc interes jakoś w papierach porzucić. Ale przecież to wszystko było moje. Za moje pieniądze kupione. Razem z nami w nowym domu zamieszkała także jej matka sprowadzona ze wsi. W moim interesie pracowali również bracia Kasi.



nie drugiego człowieka — zdrowy czy chory; dobrze wygląda czy źle wygląda, i tak dalej. Moim zdaniem, zmienia się to w rodzaj rynku, na którym się ocenia, kto jest ile wart. Oczywiście ja to wyostrem, ale robię tak specjalnie, by pokazać, jak ważny jest powrót do spotkań osobowych, a nie rzeczowych. Dlatego potrzebny jest pewien rytm spotkań i rozstań rodzinnych.

— Widzi pan polską rodzinę raczej file...

— Może nie źle, bo pozostały w niej jeszcze pewne odruchy, które są podtrzymywane głównie przez Kościół. Dostrzegam natomiast pewien dramat w tym, że za tymi odruchami niewiele się kryje. Ja myślę, że polska rodzina jest rozbita ze względu na złą politykę urbanistyczną i planistyczną.

Co to jest dzisiaj polska rodzina? Biorąc pod uwagę przeciętną statystyczną, są to przeważnie mąż, żona

ale będą stawać na porządku dziennym, w planie polityczno-społecznym, problem rodziny. Może niczego nie załatwią, ale nie popuszczą żadnemu politykowi, który chciałby sprawę rodzinną zlekceważyć.

— Ale czy nie są to oczekiwania utopijne?

— To jest niewątpliwie utopia. Ta utopia uświadamia, że trzeba mieszkać we własnym domu, identyfikować swe życie z domem, a nie z numerem mieszkania.

Polska jest w takiej sytuacji, iż całe zastępy młodych ludzi, którzy powinni już dawno opuścić dom rodzinny i założyć własny, są w stanie rozpaczy; i trzeba tym ludziom pomóc po to, by nie popadali w depresję, choroby psychiczne, samobójstwa. A wiemy, że w Polsce co dwie godziny człowiek popełnia samobójstwo.

Jeżeli nie ma rodziny, to niech będzie chociaż grono ludzi, którzy pod-

przyjeżdżając do miasta; nie mają wykształconych sposobów komunikowania uczuć, potrzeb i w związku z tym czują się zablokowani.

Dzieci w małych miasteczkach i wsiach są obciążone pracą, są wręcz wyzyskiwane — to mogą z całą stanowczością powiedzieć — przez rodziców dla osiągnięcia większego zarobku. O tym się nie mówi. Dzieci na wsi nie mają dostatecznej satysfakcji emocjonalnej. Przyjeżdżając do miasta, obserwują, zdobywają wiedzę, ale też przeżywają wtedy szalony stres, wywołany tym, że są inne.

Natomiast dzieci z miasta łatwiej wyrażają swoje potrzeby uczuciowe, szybciej nawiązują kontakty z rówieśnikami i są bardziej wolne, a może zbyt wolne. Młodzi w mieście częściej uzależniona jest psychicznie od rodziców. A rodzice stają się niewolnikami własnych dzieci. Często dzieci miejskie zwalniane są z najprostszych

dać. I dlatego jest to sytuacja szczęśliwa, mimo trudności ekonomicznych.

— Więc wielodzielność jest warunkiem szczęścia w rodzinie?

— Nie, ona tylko pomaga w sposób naturalny zabezpieczyć przed deficytem uczuciowym, ale to nie jest żaden wrunek. Warunkiem jest rozwój uczuciowy, który zawdzięczamy matce. Jest ona pierwszą nauczycielką i pielęgniarką uczuć. Rehabilitacja rodziny powinna odbywać się przez rehabilitację matki.

Trzeba kobietę uwolnić od ciężkiej pracy, którą narzucił jej system komunistyczny. Ona musi mieć prawo do spokojnego wychowania dziecka aż do chwili, gdy ono pójdzie do szkoły. Wtedy możliwa będzie pełna wymiana uczuciowa pomiędzy matką a dzieckiem. Nawet matka pozbawiona uczuć, w takiej swobodnej integracji odzyskuje uczucia. Można powiedzieć, że dziecko staje się terapeutą rodziców, pod warunkiem, że matka ma możliwość stałego kontaktowania się z dzieckiem, a nie tylko pracuje ciężko jak niewolnica.

Kobieta w sytuacji ciągłej pracy wyrodnije, staje się pseudo-mężczyzną i wprowadza do domu nieład emocjonalny i moralny. Jednocześnie mężczyzna, zdegradowany do pozycji źle oplakanego wyrobnika, też jest pozbawiony swojej godności, staje się pseudo-mężczyzną. Dlatego wielu mężczyzn po prostu pije.

— O smutnych sprawach pan mówi i to przy okazji Świąt Bożego Narodzenia, które przez wieki cementowały polską rodzinę...

— W religii katolickiej, zwłaszcza w jej polskim modelu, preferuje się kontemplację matki, która trzyma dzieciątko. Cała ta medytacja skierowana jest na małe dziecko. Chciałbym, by ta kontemplacja bożonarodzeniowa mogła się dalej rozwijać w życiu. Archetyp matki trzymającej dziecko mógłby być treścią wielkiej misji wychowawczej w Polsce. Jest to zadanie, które stoi przed nami. Życie wszystkim przy tej świątecznej okazji, by umieli oddzielić dziecko w sobie, dorosłego w sobie i rodzica w sobie, by umieli prowadzić dialog. To są najważniejsze życzenia. Także dla czytelników „Relacji”.

— Dziękuję bardzo.

Rozmawiała:  
Anna Mickiewicz

## DEFICYT UCZUĆ RODZINNYCH

i dziecko — dwa plus jeden. To jest tak zwana rodzina nuklearna. Czuje się ona osamotniona, żyjąc w systemie, który ją obdziera z szerszych więzi. Kiedyś, w okresie przedwojennym i tuż po wojnie, miał wielkie znaczenie kontakt z tak zwanymi kuzynami, wielką rodziną, która zawsze stanowiła dla rodziny nuklearnej pewne oparcie — moralne, psychologiczne, zdrowotne i ekonomiczne. Dzisiaj te więzi istnieją, ale są one wypaczone, porozrywane, zdeformowane.

Polityka państwa powinna mieć charakter „domocentryczny”, wszystko powinno odbywać się w domu — rodziny i śmierć, chorowanie i zdrowienie. Jeżeli mieszka się w betonowym bloku, to nawet trudno rozmawiać, wszystko słychać u sąsiadów, nie ma intymności, nie ma możliwości skupienia się. W takim przypadku spotkanie mężczy, staje się obowiązkiem, a nie czymś, co daje radość.

Sądzę, że gdyby wzięli się za to odpowiednie instytucje, ruchy społeczne różnego rodzaju, to można by było przywrócić ducha tym spotkaniom rodzinnym.

— Czy nie uważa pan, że działania takie mogą być szkodliwe i trudno będzie dotrzeć do każdej rodziny?

— Może trzeba walczyć tą bronią, od której się ginie. Myślę, że teraz powinny pojawić się „kontruchy”. One nie dotrą bezpośrednio do jednostek,

nie myślą i czują. Może być to na przykład grupa psychoterapeutyczna.

— Od lat zajmuje się pan psychoterapią. Co sądzi psychoterapeuty o problemach młodych ludzi?

— To, co się pojawiło w ciągu pięciu, sześciu ostatnich lat...

Po pierwsze — większość studentów, z którymi pracuję, nie różnicuje własnej osobowości w stosunku do osobowości rodziców. Są tak zgłębieni psychicznie, że bez wątpienia można mówić, iż są to osobowości uzależnione — submisyjne. Dorosli ludzie boją się opuścić swój dom, są niezadowoleni, zależni od rodziców, jednocześnie niezdolni do nawiązywania kontaktów. Później doprowadza to do katastrofy, dużej liczby rozwodów.

Tak się złożyło, że przez pewien czas konsultowałem od strony psychologicznej problematykę rozwodów. Przyczyny rozpadu są absurdalne. Na przykład matka przeważnie zastępuje córkę w kontaktach z zięciem, odgrywa rolę córki, jest złym duchem i decyduje, jakie będą kontakty córki z mężem. To patologia.

Drugi problem wiąże się z tym, że duża grupa ludzi awansuje do wyższego statusu społecznego. Myślę tutaj o młodzieży studiującej. Zauważam, że bardzo dużo problemów psychicznych mają ludzie, którzy wywodzą się z małych ośrodków, ze wsi. Nagle doznają szoku cywilizacyjnego,

obowiązków domowych, są wyobcowane we własnym domu z tego powodu, że nie mają nic do zrobienia. Rodzice przyjmują wobec nich funkcje robotników, służących.

— Ale chyba można znaleźć rodziny, zarówno w mieście, jak i na wsi, które funkcjonują zdrowo, bez względu na warunki.

— Dużo jest rodzin, które funkcjonują zdrowo, mimo że są otoczone przez patologię. Są to rodziny, w których miłość, szacunek, empatia stoją na pierwszym miejscu, ponad problemami ekonomicznymi i zawodowymi.

Wiemy, że na wsi są rodziny bardzo liczne, żyjące w skromnych warunkach. W rodzinie takiej wytwarza się swojego rodzaju społeczność, która wzajemnie siebie ubezpiecza. Może ona żyć w niedostatku, ale członkowie jej przekazują sobie wzajemnie uczucia — i to ją ratuje.

W przypadku rodzin nuklearnych, „uzawodowionych”, sytuacja emocjonalna jest trudniejsza dlatego, że pracownicy rodzice przychodzą z pracy z deficytem uczuciowym i domagają się dopełnienia ze strony dzieci, a dzieci też przychodzą z deficytem po szkole i domagają się tego samego od rodziców. W związku z tym powstaje rodzaj gry deficytów emocjonalnych.

W przypadku, gdy jest liczna rodzina, zawsze ktoś ma nadmiar i może

## OD CYGANÓW

Zdzisław Bogucki dobrze wspomina lata małżeństwa. Interes gospodarczy, a oni ze spokojem mogli wydawać zarobione pieniądze. Grecja, Tajlandia, Singapur, rejs „Batorym”, sterty eleganckich ciuchów, skórzanymi ubraniami, futra, biżuteria, antyki, drogie butele, nocne lokale — wszystko to miało się wraz z upływającymi latami.

— Wybrałem z konta 21 tysięcy dolarów — mówi teraz — Kupiłem jej barek „Golf”, a potem „Volvo”. Nikt nie widział jej dwa razy w tym samym komplecie biżuterii. A kiedy szła w niedzielę do kościoła na mszę, to zawsze spóźniała się pięć minut i maszerowała środkiem pod sam ołtarz, aby wszyscy widzieli, jak jest ubrana. W Peweksie była najlepszą klientką.

— Ale warta była tego. Była taka pracowita. Wszysko w tym domu własnymi rękami doglądała. Lubiała przecież ten dom. Złego słowa na nią powiedzieć nie mogę. Ja w ogóle nie wiedziałem, że...

— 6 stycznia 1988 roku obchodziliśmy 14-tą rocznicę wspólnego życia. Zafartowałem wtedy: „Za czterdzieści lat będę miał na karku osiemdziesiątkę i będę stary pientziel. Będziesz mnie jeszcze wtedy chciała?” „Nawet gdybyś był na wózku inwalidzkim, będę z tobą” — usłyszałem od niej. A w dwa miesiące później...

— Pojechaliśmy obydwój do Lublina, bo kupiłem tam działkę i właśnie przywieźli mi siedemnaście tysię-

cy sztuk cegły na budowę następnego domu. Nie czułem się najlepiej i Kasia musiała prowadzić „Volvo”. Kiedy wróciła do domu, marudziła, że nie jest przekonana, czy rzeczywiście jest tam tyle tysięcy cegieł. Było jej niewiedzią, żeby pojechała i je przeliczyła.

— Kiedy obudziłem się następnego dnia, Kasi już nie było w domu. Jej siołka powiedziała, że z samego rana wyjechała samochodem. Byłem przekonany, że pojechała do Lublina. Po kilkunastu godzinach zadzwoniłem do Lublina do znajomych. Nikt jej tam nie widział.

— Coś mnie wtedy tknęło. Pobiegłem do skrytki. Nie było w niej pieniędzy. Nie było dolarów. Nie było biżuterii. Z furją zacząłem rozrzucać pościel na łóżku. I wtedy znalazłem dzienniczek...

— Pod datą 5 stycznia 1988 roku zapisała, że pojechała do sklepu i z okazji 14-tej rocznicy kupiła mi kupon materiału, a następnie pojechała do Peweksu i kupiła upominki dla Doktora.

— Nie wierzyłem własnym oczom. Dzień po dniu zapisane były spotkania z Doktorem. Najpierw wizyty jako pacjenta, później już kochanki.

Doktor przyjechał maluchem.

Kasia przyniosła z kuchni kawę, usiadła przy stole.

— Jak pan to wszystko widzi? —

Zdzisław Bogucki podjął rozmowę z Doktorem.

— Kasia mi mówiła, że była z panem nieszczęśliwa — odpalił spokojnie Doktor. — Chyba zna pan coś takiego jak trójkąt małżeński.

— Zona pisze w dzienniczku, że nie jest pewna pana uczuć.

— A kto wyznaje miłość kobiecie? — zachnął się Doktor.

— Ja. Bo to, co mam, stworzyłem przez miłość do niej.

— Zgodziła — wtrąciła się do rozmowy Kasia — ja nie mam zamiaru ciebie opuszczać. Na krzyż przysięgam...

— To przysięgasz jeszcze raz — starszy mężczyzna zerwał ze ściany ryngraf — że nigdy więcej nie spotkasz się z tym panem.

— Tego nie mogę zrobić. Bo ja go Kocham.

— Przysięgasz też, że jeśli opuścisz mnie nie z mojej winy, to nie masz prawa więcej z tego domu zabrać jak to, co masz na sobie.

— Ale, ale, proszę pana — Doktor podniósł nieco głos — jej się przecież należy połowa majątku...

Przyniósł dwa kanistry z benzyną.

Zrobił kont. Wziął do ręki paczkę zapalek i usiadł na podłodze.

Do jakiego bólu może być człowiek nieszczęśliwy? Samotny? Stary i niepotrzebny?

Mężczyzną odrywa dłonie od twarzy i ściera płynące łzy.

— Dlaczego nie zapaliłem wtedy zapalek? — pyta cicho sam siebie. — A wie pani, że Kasia chciała, abym w Lublinie wybudował taką willę jak w tym filmie „Powrót do Białego”.

Z takim samym tarasem, balustradami, basenem, trawnikami i ogrodem... Od roku tam nie byłem. Wciąż tylko chodzę po sądach. W listopadzie ubiegłego roku Doktor zabrał z mojej

byłą żoną napadli na mnie na stacji benzynowej, kiedy tankowałem „Volvo”. Chcieli mi je odebrać, bo dowód rejestracyjny wystawiony jest na Kasię. Na liście około 300 rzeczy, które chce mi ona przez sąd odebrać, znalazły się nawet figurki porcelanowe i różne flakoniki, które przywoziłem z zagranicy. Teraz na odmianę straszą mnie prokuratorom, o proszę, mam wezwwanie do stawienia się... Ale ja wiem, że to nie są jej pomysły. To Doktor tak nią kieruje. A miałem takie piękne plany na przyszłość. Myślałem o rozszerzeniu biznesu i inwestowaniu w nowy interes...

Wstaje i wychodzi z pokoju. Po chwili wraca. Rzuca na stół białą, mocno przybrudzoną reklamówkę. Wypchana jest po brzegi banknotami, ułożonymi w paczki i przewiązanymi banderolami.

— Ularg mi przywieźli, żebym zanosił do banku.

Odsuwa od siebie reklamówkę i ciężko siada na krześle. Wciera głowę w dłonie. Cicho szepta:

— I po co są mi te pieniądze, kiedy jej już nie ma.

(Imiona i nazwiska zostały zmienione)  
Izabella Wlazłowska



# BÓG SIĘ RODZI, MOC...

Dokończenie ze str. 1

Przedstawiono mi anonimowy wykaz zawierający nazwiska wielu osób. Ci ludzie twierdzili, że nie są ani nie byli chrześcijanami i powtarzali za mną imiona bogów, a przed twoim portretem, który w tym celu kazałem przynieść, składali ofiary z kadzidła i wina, a co więcej zlorzeczyli Chrystusowi, do czego podobno nic nie jest w stanie zmusić tych, którzy są naprawdę chrześcijanami; tych kazałem zwolnić.

Inni, wymienieni w owym piśmie anonimowym, mówili, że są chrześcijanami, i zaraz potem zaprzeczali temu, mówiąc, że wprawdzie byli, lecz zerwali z tym [...]. Zapewniali zaś, że ich największą winą czy błędem było to, że mieli zwyczaj z nastaniem dnia, o świcie, zbierać się i śpiewać na zmianę pieśni ku czci Chrystusa jako boga i że związali się przysięgą nie co do jakichś występków, lecz że nie będą popełniać kradzieży, rozbojów, cudzołóstwa, że nie będą składać fałszywej przysięgi, że nie będą wobec ładających zwrotu powierzonej im własności zapierać się, że ją otrzymali. Po tych obrzędach zazwyczaj rozchodzili się, po czym znowu zbierali się w celu przyjęcia wspólnego posiłku, lecz niewinnego; ale — jak mówili — zaprzestali to robić po wydaniu przeze mnie edyktu, w którym — zgodnie z twoim zaleceniem — zabroniłem wszelkich heterii. Tym bardziej uważałem za rzecz konieczną wymusić zeznania od dwóch niewolnic, które nazywały się „służebnicami”, ile jest w tym prawdy. Nie znalazłem w ich zeznaniach nic innego jak tylko niedorzeczne przesady.

Dlatego odroczyłem śledztwo i zwracam się do ciebie z prośbą o radę. Sprawa bowiem wydaje mi się zasługująca na zasięgnięcie rady, zwłaszcza ze względu na ilość ludzi narażonych na niebezpieczeństwo; wielu bowiem ludzi w różnym wieku, różnego stanu, obojga płci jest i nadal będzie narażonych na to niebezpieczeństwo. I nie tylko miasta, ale i wsie, i wioski opanował ten zabobon jak zaraza...

**W** SZYSTKIE przytoczone tu teksty łączy jeden temat: prześladowanie wyznawców nowej religii, zwanych chrześcijanami. Rodzący się chrześcijaństwo natrafiał od początku na różnorodne przeszkody — związane z religijną władzą żydowską, jak i w opinii pogańskiej oraz u władzy rzymskiej.

Pierwsze masowe represje wobec chrześcijan przyszły ze strony władzy

cesarskiej za Nerona. Oddajmy znów głos Tacytowi, od którego pochodzi najobszerniejszy opis tych głośnych — zwłaszcza że spopularyzowanych przez Sienkiewicza w „Quo vadis” — wydarzeń. Chodzi oczywiście o pożar, jaki wybuchł w Rzymie 18 czerwca 64 r. i przez 6 dni i nocy niszczył miasto.

Przyczyny jego nie znano: czy to z przypadku, czy to „przez złośliwość cesarza”. Krążyły różne wersje, ale „nie ustępowała hańbiąca pogłoska i nadal wierzono, że pożar był nakazany. Aby ją więc usunąć, podstawił Neron winowajców i dotknął najbardziej wyszukanymi kaźniami tych, których znienawidzono dla ich sromot, a których lud chrześcijanami nazywał. [...] Schwytano więc naprzód tych, którzy tę wiarę publicznie wyznawali, potem na podstawie ich zeznań ogromne mnóstwo innych, i udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu. A śmierci ich przydano to uragowisko, że okryci skórą dzikich zwierząt ginęli rozszarpywani przez psy albo przybici do krzyżów, albo przeznaczeni na pastwę płomieni i gdy zabrakło dnia, padli się służąc za nocne pochodnie. Na to widowisko ofiarował Neron swój park i wydał igrzysko w cyrku, gdzie w przebraniu woźnicy z tłumem się mieszał lub na wozie stawał. Stąd, chociaż ci ludzie byli winni i zasługiwali na najsurowsze kary, budziła się ku nim litość, jako że nie dla pożytku państwa, lecz dla zadośćuczynienia okrucieństwu jednego człowieka byli traceni”.

Prześladowania za Nerona, choć intensywne i masowe, były krótkotrwałe i ograniczyły się do Rzymu. Następna fala przychodziła za cesarza Domitjana (81—96 r.) i dotykała — obok Rzymu — kraje Azji Mniejszej, będące rzymskimi prowincjami. Wtedy to właśnie zesłany z Efezu na wyspę Patmos św. Jan napisał swą Apokalipsę, zawierającą stwierdzenia i przepowiednie o cierpieniach „dla Imienia Chrystusa” oraz że „zostaną zabici wszyscy, którzy nie oddadzą pokłonu obrazowi Bestii”, tj. padną ofiarą odmowy wypełnienia obrzędów kultu cesarskiego.

Atmosfera nieprzychylna chrześcijaństwu utrzymywała się za panowania następnego cesarza, a liczba męczenników musiała być niemała, skoro Epiktet (grecki filozof, przebywający w I w. w Rzymie) jako przykład fanatyzmu i braku instynktu zachowawczego podaje Galilejczyków, którzy uparcie opierają się groźbom i rozkazom ich sędziów. O uporze chrześcijan wspomina również Marek Aureliusz (161—180 r.), zaś rozprzestrzenianie się

wyznawców Chrystusa i ich prześladowania w II w. n.e. potwierdza historia męczennictwa w 177 r. w Lyonie (Galia). Kilku dziesięciu chrześcijan zostało wówczas uwięzionych przez rzymskie władze, a z ich służby wymuszono torturami zeznania, iż dopuszczali się oni kazirodztwa, różnych orgii, a nawet kanibalizmu przy składaniu ofiar. Po serii tortur, gdy nikt z oskarżonych nie chciał wyprzeć się swej wiary, zginęli w publicznej egzekucji wśród zwierząt na arenie. Ciała ich wystawiono na widok publiczny, a następnie spalono. Prochy zostały wrzucone do Rodanu, by nie pozostał po nich żaden ślad i by nie mieli już nadziei zmartwychwstania.

Przy początkowej tolerancji władców w III wieku — wznowił krwawe prześladowania Decjusz (250—253 r.), dążący do uzyskania uznania wśród ludu m.in. poprzez przywrócenie rangi dawnych kultów. W 250 r. nakazał on, aby wszyscy poddani wzięli udział w powszechnym składaniu ofiar rzymskim bóstwom. W każdej miejscowości czuwała specjalna komisja, której zadaniem był nadzór nad ceremonią oraz wydanie obywatelowi zaświadczenia, iż wziął w niej udział. Chodziło więc o publiczny akt lojalności. Od chrześcijan nie wymagano wyrzeczenia się wiary, lecz wystarczało wzięcie udziału w obrzędach. Oporni znaleźli się jednak w więzieniach, pojawili się znów tortury i egzekucje.

Względna tolerancja i spokój w późniejszych latach przetrwana została największymi w historii Rzymu prześladowaniami ze strony Dioklejana i jego współregentów oraz następców — Galeriusza i Maksymina Daję (tzw. Wielkie Prześladowanie w latach 303—312). Planowane jako bezkrwawe i oparte na nowych podstawach prawnych, prześladowania te okazały się w istocie surowe i brutalne. Szczególnie intensywne były na Wschodzie (w Egipcie, Palestynie, Syrii). Dopiero tuż przed swoją śmiercią Galeriusz odwołał edykty prześladowcze, pozwalając: „Niech znów będą chrześcijanami i niech z powrotem wznoszą domy, w których się zbierali, byle tylko nie robili, co się sprzeciwia obyczajom” (wg Euzebiusza, Historia Kościoła). Jego współregent, władca prowincji azjatyckich i Egiptu — Maksymin Daję, upierał się nadal przy swojej polityce nietolerancji, niemal aż do swojej samobójczej śmierci w lecie 313 roku. Zaraz potem, 13 czerwca 313 r. ogłoszony został przez cesarzy Konstantyna i Licyniusza tzw. edykt mediolański, przyznający chrześcijanom pełną i całkowitą swobodę kultu. Koniec męczeńskiej epoki.

**D** LACZEGO i jakim prawem obrócił się Rzym od początku przeciw chrześcijanom? Pytaniu temu poświęcono już tyle poważnych dzieł, że pozostaje tutaj ograniczyć się tylko do skromnego szkicu.

Otóż już z przytoczonych tekstów źródłowych wynika, że chrześcijaństwo jawiło się Rzymianom jako zabobon — przez Tacyta nazwany zgubnym, złym i sromotnym, przez Swetoniusza — nowym i zbrodniczym, przez Pilinusa — niebezpiecznym, niedorzecznym, ale i zaraźliwym.

Rzymianie uważali się za naród przywiązany do religii i tradycji, i to w sposób przewyższający — jak z dumą podkreślał Ciceron — inne narody. Religia lub zwyczaj obcy i nie znajdujący uznania u Rzymian określano były właśnie jako zabobon. Z niechęcią więc i podejrzliwością przyjmowali napływ obcych kultów i wyznań. Podejmowali też od dawna działania zwalczające je.

Nowa, napływająca stopniowo do samego Rzymu wiara traktowana była z nieufnością i wrogością, co wynikało również z obcych tradycji i obyczajowości rzymskiej elementów tej nowej wiary, zauważalnych w życiu codziennym: otaczanie się tajemnicą, potajemne spotkania o świcie lub nocą w podziemiach, surowość obyczajów i

asceza przy jednoczesnym potępieniu niemoralności, odmowa udziału w kultcie cesarza i odrzucanie wizerunków. To rodziło zarzuty bezbożności i obojętności wobec spraw publicznych, zwłaszcza że chrześcijanie w swej obojętności dla dóbr ziemskich nie interesowali się sprawami państwa i prawa. „Oddzielają się od innych ludzi, lekceważą sobie prawa, obyczaje i kulturę społeczeństwa, w którym żyją” — pisał Celsus, jeden z ówczesnych krytyków chrześcijaństwa.

Tradycji rzymskiej obce też było tworzenie wspólnot niezależnych od określonego miejsca i narodu. Religia należy przecież do narodu i jego kultury, a chrześcijanie byli inni, odrębni, obcy. Musiało to drażnić, wzbudzać niechęć, wywoływać podejrzliwość, a wreszcie być źródłem niezliczonych i niesamowitych plotek. Mówiono o chrześcijanach, że uprawiają potajemnie mord rytualny, że składają ofiary z krwi i ciała niewinnych dzieci, że panuje wśród nich wyuzdana rozpusta, kazirodztwo i kanibalizm. Atmosfera była więc wokół nich nie-dobra, sumująca się w określeniu, że łączy ich „nienawiść do rodzaju ludzkiego” (Tacyt).

Dołączał się do tego drugi, istotny powód niechęci. Nowa religia wywodziła się z Judei, spośród Żydów. Stosunek zaś Rzymian do Żydów był — zresztą z wzajemnością — nieprzyjazny. Swetoniusz pisze o wypędzeniu Żydów z Rzymu (za Klaudiusza) jako wicherzycieli porządku. Obszerniejszą, ale również niechętną charakterystykę daje Tacyt przy okazji opisu podboju Judei przez Tytusa w 70 r. n.e.:

„Możesz, chcąc się na przyszłość co do tego ludu upewnić, nowe mu nadać obrządki, sprzeczne z obrządkami innych ludzi. Bezbożne jest tam wszystko, co u nas jest święte, a na odwrót, dozwolone jest u nich to, co u nas za zakaz uchodzi [...]. Tych obrządków, w jakikolwiek sposób je wprowadzono, broni ich starożytność; inne urzędnicy opaczne, wstrętne, wskutek swej przewrotności mocy nabrały [...]. Ci, którzy za ich wiarę przejdą, to samo praktykują, a te przede wszystkim zasady w nich się wpaja, aby gardzili bogami, wyparli się ojczyzny, za nic mieli rodziców, dzieci i braci” (Historiae 5, 1; tłum. S. Hammer).

Religia Żydów była więc dla Rzymian obca i nienaturalna, odmienna w obyczajach i obrzędach, przeciwna tradycji. Przeciwna również rzymskiemu prawu. Potoczne wyobrażenia o Żydach oddaje satyra Juwenalisa:

Innym znów los dał ojca,  
co święci sobotę.

Więc czczą chmurę i bóstwa  
gdzieś w niebieskiej próżni.

Twierdzą, że ciało ludzkie  
niczym się nie różni

Od świni, której ojciec nie je,  
a niedawem

Urzą sobie... Ci zawsze gardzą  
rzymskim prawem,

Czczą tylko i studiują wciąż  
żydowskie prawo,

Które dostali w księdze  
za Mojżesza sprawą.

Jeżeli ktoś wyznaje jakiegoś innego boga,

To mu do źródła z wodą  
nie pokażą drogi.

(tłum. J. Sękowski).

Jeśli, zważywszy, że chrześcijanie utoleżami byli początkowo z Żydami, to takie połączenie obcej, nowej religii z niechętnym od dawna stosunkiem do Żydów, musiało przynieść zdwojoną wrogość. Z czasem zaczęto odróżniać chrześcijan od Żydów (m.in. właśnie nazwą chrześcijan), ale wysuwane przeciw nim zarzuty nadal często pochodziły z tego samego antyżydowskiego nastawienia. I chyba nie bez racji stwierdza się, że antychrześcijański antyczny wzorował się na ówczesnym antysemityzmie.

(Koniec odcinka 1. — cdn.)

Marek Kuryłowicz



„Kolędniczy” Bazylego Albiczuka.

Reprod. Waldemar Stępień



# ZIMOWY LUBLIN

w obiektywie Waldemara Ślepnia





**D**O wielu nieporozumień, jakie udradniają społeczną komunikację między Bugiem i Odrą, doszło jeszcze jedno. Jesienią 1989 roku w publikacjach polskich lansuje swoje poglądy dwóch ekonomistów o nazwisku Sachs. Ażby było jeszcze trudniej, panowie ci mają dokładnie przeciwnie poglądy ideowo-ekonomiczne. Nie dość zatem, że mamy „karetę Króli” (Jan Król — OKP, Krzysztof Król — KPN, Marcin Król — „Res Publica” i Marek Król — PZPR), to jeszcze do tego doszli dwaj panowie „S”. Lub szczęścia, że chociaż poseł Szymanderski jest tylko jeden.

Dwaj panowie „S” to:

1) Amerykanin — Jeffrey Sachs, lat trzydzięci, profesor Harvard University, „zbawca” Boliwii, dziwnym trafem zaimportowany przez nowy rząd polski (historia lubi się powtarzać, raz już — przed laty — polityk o nazwisku Mazowiecki, książę zreszta, brzemiennej w skutki importu dokonał).

2) Polak — Ignacy Sachs, lat sześćdziesiąt, profesor (do roku 1968, kiedy to został wyemigrowany) SGPiS, twórca (razem z Michałem Kaleckim) „polskiej szkoły” badań nad gospodarkami trzeciego świata. Obecnie Directeur d'Etudes w elitarniej Ecole des Hautes Etudes en Sciences Sociales w Paryżu.

Panów „S” różni tedy: wiek, pochodzenie i doświadczenie życiowe. Różnią się także poglądami, chociaż do obydwu pasuje pojemne określenie „liberał”.

Jeffrey Sachs jest liberałem w europejskim znaczeniu tego słowa. Znaczeniu, które dość dobrze oddaje znane powiedzonko (dzisiaj trzeba je nieco zmodyfikować) o państwie jako nośnym stróżu gospodarki rynkowej. Dodać należy, iż — w swoich poglądach ekonomicznych — profesor Jeffrey Sachs jest liberałem „twardym”, przy którym Janusz Korwin Miśko (o Friedrichu Hayeku i Miltonie Friedmanie już nie wspominając) jawi się jako „socjalistyczny mięczak”.

Ignacy Sachs jest liberałem w znaczeniu „trzeciej drogi”. Pan Jeffrey Sachs natomiast proponuje nam:

- a) natychmiastowe urynnowienie wszystkich cen i zniesienie wszelkich dotacji (żebyśmy mieli jasność — przy znacznej skali dotacji i znacznym nawisie inflacyjnym oznacza to znaczny ruch cen w górę);
- b) natychmiastowe wprowadzenie wymagalności pieniądza po kursie rynkowym i zniesienie wszelkich restrykcji w handlu zagranicznym (żebyśmy mieli jasność — oznacza to znaczny ruch w górę tak kursu dolara dla przedsiębiorstw, jak i towarów będących przedmiotem eksportu i importu);

c) natychmiastową likwidację deficytu budżetowego i wprowadzenie zasady „twardego ograniczenia budżetowego”, czyli stanu prawnego, w którym budżet może wydać tylko tyle, ile zarobi (żebyśmy mieli jasność — oznacza to znaczną redukcję wydatków na cele socjalne);

d) natychmiastowego ograniczenia emisji i wprowadzenia zasady „trudnego pieniądza” dla podmiotów gospodarczych (żebyśmy mieli jasność — oznacza to znaczne podrożenie kredytu i — praktycznie rzecz biorąc — zamrożenie plac);

e) jak najszybszą (to jest to jedyny punkt programu, którego nie da się zrobić natychmiast) prywatyzację gospodarki.

**P**ROGRAM reform gospodarczych profesora Jeffreya Sachsa jest teoretycznie słuszny. Bez wątpienia powinno być tak, że ceny wyznaczają rynek; że jeżeli ktoś chce z cze-

runkiem, że kof wytrzyma” („Gazeta Wyborcza” 79/1989).

Stanisław Gomulka, profesor London School of Economics (a nie jest to miejsce, w którym zbierają się miłośnicy etatyzmu i gospodarki centralnie komendowanej), także posługuje się przykładem zoologicznym. Jego ulubiona metafora to „two islands and crocodiles”. Żyjemy na jednej wyspie, którą zalewa już woda, musimy przedostać się na drugą, po drodze niedostają się krokodyle. I co będzie, jak nas zjedzą („Życie Gospodarcze” 32/1989).

**P**ROBLEM sprowadza się do kosztów całej operacji. Ogólnie wiadomo, że ogólnie będzie ona korzystna. Nie oznacza to jednak, że musi być korzystna dla pana Kowalskiego czy pani Malinowskiej. Dlatego pytanie, ile oni będą musieli zapłacić, wydaje się całkiem zasadne. Staralem się dowiedzieć o koszty

nione jest pewne „echo” placowe — rosła koszty, a więc wzrosła także płaca (d.). A zatem taka dziesięciokrotna podwyżka cen węgla spowodowała by sześciokrotną podwyżkę ogólnego poziomu cen.

W odpowiedzi na to usłyszałem, że polski szacunek jest zawyżony i jeżeli nie nastąpi w ogóle rekompensacyjny wzrost plac, to kosztowe skutki podwyżki cen węgla będą niewielkie. Co najwyżej, będzie tak, że wzrost ceny węgla o 1000 procent spowoduje wzrost kosztów produkcji i cen innych wyrobów o 100 procent.

W tym momencie uznałem, że dyskusji toczyć mi dalej nie warto. Może sobie bowiem wyobrazić ministra Kuronia, który skończywszy wydawać nieodpłatne obiady, weźmie do ręki wiaderko i jeszcze trochę węgla starszemu roznieście. Nie mogę jednak wyobrazić sobie premiera Mazowieckiego szarującego na czele ZOMO (to

## DWAJ PANOWIE

### Michał Zieliński

goś korzystać, to za to płaci itd. Problem jedynie w tym, że w niby-gospodarce pecelewskiej nigdy tak nie było i wszystkie parametry ekonomiczne odbiegają niezwykle od „normalnych”, czyli takich, jakie ukształtowałyby się w normalnej gospodarce.

Przejsie od niby-gospodarki do gospodarki wydaje się profesorowi Sachsovi niezwykle łatwe. Uważa, iż drogę tę należy przebiec jednym skokiem. Czy jednak skok taki jest możliwy?

Stefan Wiech-Wiechecki mawiał w takich razach: „Przyпускаm, że wątpliwość i chyba miał rację. Ja przynajmniej wątpię w możliwość takiego skoku i jestem w nimalnym i wcale nie-ziłym towarzystwie wątpliwości”.

Stefan Bratkowski napisał („Gazeta Bankowa” 38/1989): „Jeffrey Sachs nie wyobrażał sobie zapewne, że można znaleźć kraj o większej skali absurdów niż Boliwia, którą wyleczył paroma prostymi zabiegami. On mówi — wlećcie po prostu trochę benzyny do baku, a to pojedzie. On nie wie, że bak jest dziurawy, rozrusznik nie ma połączenia z silnikiem, a paska klinowego w ogóle nigdy nie było”.

No tak, ale Stefan Bratkowski jest znanym socjalem i można przypuszczać, iż się uprzedził. Sięgnijmy zatem dalej.

Rafał Krawczyk, którego o miłość do spółdzielczości podejrzewa raczej nie można, napisał polemikę, którą najlepiej i — przynajmniej — bardzo krótko streszcza sam tytuł „Pod wa-

(ściślej — o szacunek kosztów dokonany przez profesora Jeffreya Sachsa) całego przedsięwzięcia u źródła, podczas programu „Sto pytań do...”. Niestety, wysiłki moje nie zakończyły się powodzeniem. Najpierw usłyszałem odpowiedź, iż nie należy mówić o kosztach, bo przecież cała operacja będzie ogólnie korzystna.

Z uporem naciskając, wyciągnąłem przykład węgla, który kosztuje na rynkach światowych 40—50 dolarów za tonę i przy wprowadzeniu rynkowego kursu dolara (założony skromnie — 7 tysięcy złotych) musiałby u nas kosztować około 300 tysięcy złotych (w sile nabywczej złotówki z początku grudnia 1989 — takie zastrzeżenia dzisiaj są konieczne), czyli dziesięć razy więcej niż dotąd, i zapomniałem, jak sobie prof. Sachs wyobraża sfinansowanie wydatków energetyczno-opalowych przeciętnej rodziny (rodzina taka zużywa około 4—5 ton węgla, czyli wydawałaby rocznie około 1,5 mln złotych, zarabiając około 4 milionów)?

Usłyszałem wówczas w odpowiedzi, że ktoś przecież za tę energię płacił i do tej pory, a sprawiedliwiej jest, aby płacił ci, którzy bezpośrednio ją zużywają.

Wówczas sięgnąłem po — wydawało mi się — argument ostateczny. Koszty produkcji. Wedle polskich szacunków, wzrost ceny węgla o 1 procent powoduje po pewnym czasie wzrost kosztów produkcji o 0,6—0,7 procenta (w rachunku tym uwzględ-

jest, przepraszam, Oddziałów Prewencji MO) na domagające się podwyżek plac tłumy”.

**S**KORO nie zaakceptowałem jasnej recepty na szybki sukces gospodarczy profesora Jeffreya Sachsa, z tym większą uwagą sięgnąłem po wywiad z profesorem Ignacym Sachsem („Życie Gospodarcze” 46/1989). Rozmowa, którą przeprowadził Jacek Kochanowicz, dotyczyła wprawdzie głównie trzeciego świata, ale wydaje się, że zarysowany optymalny model rozwoju profesor Ignacy Sachs odnosi także do Polski. A w jego skład wchodzi:

- znaczny, choć zmodyfikowany zakres ingerencji państwa w życie gospodarcze (zwłaszcza w zakresie dystrybucji dochodów, zwalczania bezrobocia i funkcji socjalnej);
- utrzymanie, choć w zmniejszonym zakresie, planowania gospodarczego („szczypta planowania w morzu gospodarki rynkowej”);
- oparcie się na trójsektorowym, choć unowocześnionym, modelu gospodarki;
- ostrożne otwieranie się na świat, a zwłaszcza bardzo selektywne wykorzystywanie cen światowych, które w sytuacji, gdy istnieje szereg czynników zakłócających wolną konkurencję, wcale nie muszą być racjonalne.

**P**O przedstawieniu obydwu koncepcji czytelnik zapewne oczekuje, iż jednoznacznie się do nich ustosunkuje i powiem, iż jedna

## „W DODATKU CAŁY W BURACZKACH”

### Zbigniew Dzieciotek

**Z**AJĄC lubi buraczki, ale równie dobrze czuje się w smietanie. Odpowiednio przyrządzony, wyróżnia się prawdziwie wykwintnym i delikatnym smakiem.

Bierzemy zatem skruszonego szaraka, którego, po zdjęciu skóry i oczyszczeniu, marynujemy przez kilka dni w regularnie zmienianej maślanie. Po usunięciu błon pokrywających mięso, na zasadniczą potrawę przeznaczamy comber i uda, zaś z tzw. prozków, wątroby, serca i płuc można zrobić pasztet.

Sprawionego zajęcia nacieramy drobno połączonymi jagodami jalowca i niewielką ilością zmielonego pieprzu, a następnie pokrójmy pokrajanymi w cienkie plastry jarzynami. Tak spreparowany szarak musi poleżeć przez kilka godzin w suchym i chłodnym miejscu. Po usunięciu jarzyn i osoleniu układamy go w brytfance z dodatkami kawałeczków świeżego masła. W trakcie pieczenia polewamy zajęcia sosem własnym.

Gdy jest już gotów, nalecmy litr młodej, lekko kwaśnej smietany (ta ze sklepu nadaje się w sam raz), dokładnie rozmieszanej z czubata łyżeczką maki, dopelnia reszty dzieła. Jeszcze tylko przez 10—15 minut dusimy całość w piekarniku, by sos nabrał pełni aromatu i odpowiedniej konsystencji. Po czym podzielone na porcje danie podajemy z czernym wytrawnym winem do konsumpcji.

Długo zastanawiałem się, czy wyciągać zajęcia spod miedzy. Wszak to nie krowa czy świnka, o które toczy się bitwa na rynku mięsnym. Z powodu marnych 20 tys. szaraków nikt nie będzie robił przewrotu palacowego w województwie lubelskim. Tytuł ich bowiem ubył od sezonu łowieckiego 1932/83 r. i na dziś stan zajęcia szacowany jest na około 35 tys. sztuk.

Co prawda, lepszy zajęć w brytfance niż szarak pod miedzą, ale miedza w żaden sposób nie przypomina mi magicznego cylindra. Wlecznie czarować się nie da. Pewnego dnia okazało się, że zajęć to już epoka lodowcowa, a polować możemy jedynie na muchy, które przeżyją najgorsze kataklizmy.

Straszę? Boże broń. Tylko dzisiaj niedawno w Polsce to rzadkość, a restytucję zabra podjęto w II Rzeczypospolitej z okazji zachowanych w ogrodach zoologicznych i prywatnych zwierzyńcach. O takich delikatach jak niedźwiedź lapy czy chrapy losia opowiada jedynie staropolska literatura, a my możemy pomarzyć. Małuczko, a nasze dzieci o szaraku dowiedzą się z... „Kaczki Dziwaczki” Tuwima (z kaczki zrobił się zajęć, w dodatku cały w buraczkach, taka to było dziwaczka).

Rozumiem, że cywilizacja nie sprzyja przetrwaniu zajęć rodziny. Mechanizacja rolnictwa, chemizacja, motoryzacja i jeszcze kilka innych „acji” niewąt-

pliwie przyczyniły się do przetrzebiecia szaraka (białak występuje w Polsce w śladowych ilościach i jest pod ochroną). Trudno, siła wyższa. Nie rozumiem natomiast, jak można było wysyłać zajęcia do Włoch w kompletach: dwie samice plus samiec? Przecież nawet dziecko w szkole wie, że w tym cały tkwi ambaras, aby dwoje chciało naraz Polski zajęć może by i chciał, ale jak nie było z kim... W efekcie mamy to, co mamy, a nasze szaraki dalej wędrują do słonecznej Italii.

Nie jestem przeciwnikiem eksportu, tym bardziej, że za żywego zajęcia otrzymywaliśmy w twardej walucie tyle, ile za... tonę węgla kamiennego. Ale rozumowanie: sowiec leć umrać, a dolary dostać, prowadzi prosto w ślepy zaułek. Znam takie jedno państwo w Europie (odpowiedzi proszę przysyłać na kartkach pocztowych), gdzie wysyłano za granicę wszystko, co było do wysłania. W efekcie jego mieszkańcy mogą dzisiaj kupić sobie w ciągu miesiąca 10 jaj, jedną kostkę masła, 1 kg mięsa i ćwierć kilograma wędlin. Jesteśmy na dobrej drodze, aby osiągnąć ten cel.

Na zajęcia wolno polować tylko na przełomie jesieni i zimy. Ze względów hodowlanych, w danym obszarze łowieckim, jedno łowisko można opolować raz do roku. Jeżeli na 100 hektarach jest mniej niż 5 szaraków (a i tak bywa), należy zaprzestać polowania (a i tak nie bywa). I wreszcie, nie wolno strzelać do zajęcia w bezruchu. Trzeba dać mu szansę ucieczki.

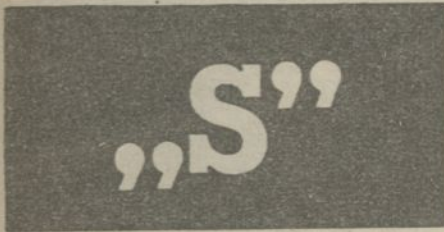
Zajęć zwykle bywa sam. Myśliwych na stanowiskach jest co najmniej sześciu. Tak mówią przepisy. I dobrze. Już bowiem Stanisław Jerzy Lec pisał: „Pamiętajcie: Stanowisko ma zawsze myśliwy, nigdy zwierzyzna”.



z nich uważam za dobrą, a drugą nie. Niestety, nic takiego powiedzieć nie mogę. Nie wiem.

Słuszniejsze — teoretycznie — wydaje mi się rozwiązanie proponowane przez profesora Jeffreya Sachsa (przemawia za nim także argument empiryczny, tak właśnie postępowały Chile, Korea Płd. czy Singapur, niestety nie znam odnoszącej sukcesy gospodarki mieszanej — nie wiem tylko, czy lubilibym mieszkać w Korei). Zbyt jednak przypomina ono skok głową w dół. Na dodatek nie wiadomo, z którego pietra. Słusznie skomentowano w Teleexpressie, że są dwie możliwości. Albo usłyszmy: „dups”, a potem: „o Jezu” i znaczyć to będzie, iż skakaliśmy z pierwszego pietra, albo też da się słyszeć: „o Jezu, o Jezu, o Jezu”, a potem: „dups”, czyli skakaliśmy z igłicy pałacu kultury.

Z kolei propozycje profesora Igna-



czego Sachsa wydają mi się zbyt mało radykalne. Odsuwałyby one perspektywę europejskiego standardu w Polsce na bliżej nieokreśloną, ale raczej odległą, przyszłość.

Co zatem proponować? Może rozwiązanie Irvinga Fishera. Mało kto wie, że popularny wskaźnik wzrostu cen to zwyczajna lipa. Istnieją bowiem dwa równoważne wskaźniki: Lesperesa i Paschego. Jeden z nich daje stale wyższe, drugi zaś stale niższe wyniki. Znudzony sporem, który z nich ocenia zmiany cen prawidłowo, Irving Fisher zaproponował trzeci, który jest średnią (geometryczną) obydwu.

Tyle tylko, że Irving Fisher był teoretykiem. Gdy zabrakło mu praktyki i zaczął grać na giełdzie — przegrał. I to, jak złośliwie komentuje profesor Galbraith, „przegrał sumę dużą nawet jak na ekonomistę”.

I komu tu dzisiaj wierzyć?

\* Fragmenty artykułu „Stan wyjątkowy w Boliwii”, zamieszczonego w „Rynkach Zagranicznych” z dn. 18 XI 1989: „Rząd boliwijski wprowadził z dniem 16 listopada stan wyjątkowy w odpowiedzi na fale protestów przeciwko obaleniu stopy życiowej. Punktem kulminacyjnym był strajk głodowy nauczycieli go salamasu i negocjacji płacowych [...] Dlatego właśnie zdecydowano się na ogłoszenie stanu wyjątkowego, który ma trwać trzy miesiące. W ślad za tą decyzją aresztowano kilkuset nauczycieli, studentów i przywódców związkowych. Rygoru stanu wyjątkowego mają — według intencji władz — umożliwić również sprawne przeprowadzenie wyborów municypalnych”.

## LISTY

### Kto nie zna historii Polski?

Przed laty, gdy kwiedzaaliśmy całą rodziną Stawropolskie Muzeum, podszedł do nas starszy „grażdanin” i przedstawiłszy się jako absolwent Warszawskawo Uniwersytetu w Rostowie, wypalił: „Wy nie enajetje istorii Polszy! My was ot No-leona aswabadi!”

Teraz w nr 44 „Relacji” na stronie 7 u dołu szpalty w artykule „Szukam Mickiewicza” Henryka Makarskiego jest napisane: „Adaś poznał [...] Był świadkiem wielkiego pożaru Nowogródka i oglądał wkroczenie wojsk napoleońskich, a następnie paniczny odwrót rozbitej, głodnej i wberwanej armii francuskiej najeżdźcy”. Zadaje pytania. Czyżby Mickiewicz uważał wojska napoleońskie za najeżdźców? Czy to autor tak ocenia? Jeżeli tak, to pogratulować wierności prawdziwej linii historycznej Warszawskawo Uniwersytetu!

Włodzimierz Dębski  
Lublin

**B**EZDOMNE psy i koty zanieś do schroniska dla bezdomnych zwierząt...” To cytat z plakatów obklepiających ściany mojego domu.

W tym domu żyją już chyba całe wieki, w nim dzieje los z wieloma podobnymi do mnie. Przyczynałem się do ich ujadania, wycia, skomlenia, kaszy jęczmiennej z mlekiem, brudnych misek, cuchnącej słomy na posadzce, krat, pcheł, ohydneho smrodu... Do wszystkiego, co najgorsze, najwstrętniejsze, najpodlejsze.

Pies towarzyszy człowiekowi od kilkudziesięciu tysięcy lat. Prawdopodobnie jego przodek, wilk południowy, pochodzący z Azji, dał początek hodowli psa domowego. Niektóre rasy psów pochodzą zapewne od szakala. Pies z epoki kamiennej to przede wszystkim nieoceniony sprzymierzeniec i towarzysz łowców. Oswojony, okazał się bardzo przydatny dla myśliwych. Znakomity wąż pozwalał mu wytropić każde zwierzę. Z czasem nauczył się spełniać różne rozkazy. Powierzano mu pilnowanie dobytku, obozowiska, a nawet opiekę nad dziećmi. Kiedy człowiek zmienił tryb życia z koczowniczego na osiadły i zajął się uprawą ziemi oraz hodowlą zwierząt domowych, wówczas pojawił się pies pasterski i obronny. Posiadanie psa głównie dla zabawy i rozrywki to moda ostatnich kilku tysięcy lat rozwoju cywilizacji.

Jako kilkutygodniowy szczeniak, oderwany od matki, trafiłem w ręce dzieci. Pamiętałem jeszcze sutki pełne ciepłego mleka. Dzieci bawiły się mną jak zabawką. Zapominały jednak, że jestem żywym stworzeniem i należy mnie nie tylko nakarmić, ale także wyprowadzić na spacer. Miałem swój własny kąt z obłożonym w kolorową powłoczkę miękkim materacem, a także miskę pełną mleka.

Miałem też swojego Pana. To z nim błądziłem wieczorami po jasno oświetlonych latarniami ulicach. Plecioną ze skóry obrozą i przypiętą do niej długą skórzaną smyczą w rękach Pana nie wzbudzały we mnie niechęci. Wiedziałem, że tak trzeba. W zamian za utratę wolności mogłem dumnie biec u boku swojego Pana. Od czasu do czasu padały słowa. Odpowiadałem merdaniem ogona. Czulem się bezpieczny i szczęśliwy.

Różne warunki i dziedziczne cechy, a także liczne krzyżówki doprowadziły do powstania przeszło 200 ras, różniących się pokrojem, wielkością, ciężarem, jak również ułożeniem i ubarwieniem. W zależności od wzorca psa danej rasy, przyczyna mu się ogon, uszy, trzymuje sierść i modnie strzyże. Nie wiadomo, dlaczego człowiek ubzdurał sobie, że np. rasowy bokser „najładniej” wygląda z obcięty ogonem i przyciętymi w szpic uszami. Zrozumieć można konieczność strzyżenia pudła. Trudniej jednak pojąć fakt, że odbywa się to przeważnie według aktualnie panującej mody. Pies rasowy to nie tylko wynik licnych eksperymentów, ale także moda, luksusowa zabawka w rękach człowieka.

Pan krzychał. Jedną ręką wskazywał drzwi, drugą wyciągniętą miał w stronę podłogi. Pokazywał dużą, mokrą plamę. Nie pomogły błagalne spojrzenia. Pan nie przebaczył.

Wywieźli mnie na wieś. Wydawało mi się, że otworzyły się drzwi do raju, w którym będzie mi bajecznie dobrze. Dużo swobody, przestrzni i własny dom. Drewniany, kryty eternitem. W środku pachnące siano. Przed budą dwie białe, emaliowane miski. Z jednej gasiłem eragnienie, z drugiej chleptałem krupnik. Zdarzało się, że do tej drugiej trafiała obrośnięta mięsem, spora kość.

Towarzystwo też było niezłe. Białe gęsi trzepocące skrzydłami, pstre kury, kogut-jedynak pięjący co rano na znak, że świta; i gołębie paskudzące dach mojej budy. Jednej z pstrych kur pozwalałem wydziobywać resztki kaszy z krupniku. Chyba ją lubilem.

Nadal istnieją pożyteczne psy „specjalizacje”. Owczarki pomagają pastarzom owiec. Bernardyny od lat pełnią służbę ratowniczą w Alpach, a odpowiednio wyszkolone psy nowofundlandzkie są świetnymi ratownikami tonących. Na wsi niemal na każdym podwórku stoi psia budka, a w niej czujny Burek. To on w porę musi ostrzec gospodarza w razie potrzeby. Pies to także znakomity przewodnik

niewidomych. Pomaga im poruszać się po ulicach, bstrzeżga przed niebezpieczeństwem, jest przyjacielem w niełatwym życiu. Pies policyjny, tresowany w specjalnej szkole, to niezastąpiony tropiciel przestępców. Natomiast husky — pies pociągowy na Dalekiej Północy jest jedynym środkiem lokomocji. Nieocenioną pomocą jest pies dla stróża nocnego. Nadal pies pełni także służbę w wojskach ochrony pogranicza.

Rosłem, męzniałem. Zmienili mi imię. Byłem Azorkiem. Nie zważali, że wiodę się z rodu wilków i imię to nie pasuje do mojej rasy.

Z upływem czasu skończyło się bez troskie życie. W dzień było normalnie. Zabawa z dziećmi, długie wylegiwanie na świeżo skoszonej trawie, polowanie na natrętne muchy. Ale noce były już inne. „Leżeć! Zostań!” — rozkazywał Pan. Musiałem siedzieć przed drzwiami, za którymi stały czterokołowe pojazdy, i szczebrać, głośno szczebrać, aż cała wieś stanie na nogi. A przecież tam, u dzieci, nie wolno mi było nawet pisać. Nie rozumiałem Pana. Teraz już wiem, co to znaczy, ale jest za późno.

Pan przywiózł mnie do przytulku. Nawet się nie obejrzał, nawet nie poglaskał. Rzucił tylko na pożegnanie, że darmozjada trzymał nie będzie, że pies, który nie rozumie swojego Pana,

moje nozdrza. Przywitano mnie chóralnym ujadaniem. Jedni pytali, jak to się stało, że znalazłem się tutaj, inni jakby się cieszyli z mojego przybycia. Było mi wstyd. Stałem nieruchomo z opuszczonym łbem. Najchętniej uciekłbym jak najdalej stąd. Było to jednak niemożliwe: dookoła kraty, drzwi zamknięte na klucz i stróż.

Zaczęli się rozglądać. Wzrok mój przesuwiał się po sąsiednich bokсах. Nie mogłem dostrzec wszystkich ich mieszkańców. Wyczuwałem jednak, że jest nas dużo. Moją uwagę zwrócił boks, który zajmowała niewielka, o krótkiej, jasnobrązowej sierści suka. Patrzyła na mnie dziwnie. Być może przypominałem jej partnera, któremu uległa, a może czekała na najszersze wieści ze świata... Trzy szczeniaki przepychały się, by przysnąć do jej sutek.

Zerknąłem na swojego najbliższego sąsiada. Niezbyt urodziwy: pysk długi, uszy małe, stojące, ślepia mocno wypukłe. Taki z ulicy. Na zadzie nieregularna lyszina. Zakreśliłem przyjaźnie ogonem. Odpowiedział mi tym samym. Tynną łapę uniesioną miał w górę. Kaleka. On też kiedyś miał swojego Pana. I dalej miałby, gdyby nie czterokołowy pojazd. Potrącił, a potem przywiózł tutaj. Dobrze, że nie zostawił na ulicy. Teraz już nikt mojego sąsiada nie zechce, bo po co komu taki niedolega?

# PSIA PAMIĘĆ

Anna Wójtowicz



Fot. Waldemar Stępień

jest głupi i bezużyteczny. Patrzałem na niego najwierniej, jak umiałem. Pan był jednak nieublagany. Pospiesznie wyszedł, zostawiając na stole postronk. Miałem ochotę po raz pierwszy w życiu zawyc jak prawdziwy wilk.

„Ale postuchał i poszedł. Zrobiwszy parę kroków, usłyszał, że pan za nim nie idzie i obejrzał się. Pan wracał do obozu. Szedł ku wyrwie, zrobionej przez traktor, i trzymany za pas automat niemal włókł się za nim po śniegu. I patrząc na jego przgarbione plecy, Ruslan poczuł nagle, że ani automat, ani on nie są już panu potrzebni. Z rozpaczy i wstydu chciało mu się usiąść na śniegu, zdradzić głowę ku szarobłitemu słońcu i wypłakać swój ogromny ból. Koniec służby okazał się gorszy niż najgorsze Ruslanowe strachy: wyprowadzono go za druty po to, by wyrzucić i skazać na zebranie z parszywymi kundlami, którymi Ruslan gardził całą duszą, nie uważając ich w ogóle za psy. Ale dlaczego? Za co? Przecież nie zrobił nic takiego, za co należałoby się tak okrutna, niesłychana kara...” (Georgij Władimow: „Wierny Ruslan”)

Starsza pani otworzyła drzwi i na tym samym postronku zaciągnęła mnie do klatki. Smród odchodów drażnił

Kundel. Mieszaniec. Nie wiadomo co to jest. Pewne jest tylko jedno: że to pies. Tak na dobrą sprawę nie można rozstrzygnąć, który z tych dwóch (kundel czy rasowy) ma bardziej naturalny, zgodny z prawami biologii, rodowód. Nie wiadomo, bo proces krzyżowań wciąż trwa. Z całą pewnością stwierdzić jedynie można, że kundel jest znacznie więcej niż psów rasowych i nie ma dwóch identycznych. Kundle nie zawsze są tak piękne, jak ich arystokratyczni kuzyni, ale za okazaną zyczliwość i kąt w domu odwdzięczają się wiernością i przyjaźnią.

Takich, jak mój sąsiad, znalazłem więcej. O, chociażby ten o dwa boksy dalej. Prawie go nie zauważyłem. Mały, ale hałasuje za dziesięć. To jego ujadanie słyszałem najwyraźniej. On pierwszy chciał mi się zwierzyć ze swojego nieszczęścia. Złapali go, wrzucili do pojazdu razem z innymi. Nie mógł uciekać. Przeszedł być wolny.

Drugi sąsiad był inny. Bardziej dostojny. Nie pasował do przytulku. Sprawiał wrażenie bardzo upokorzonego, ale zarazem pewnego siebie. Tak, miał swojego Pana, ale Pan wyjechał i dlatego on znalazł się tutaj. Wiedział, że jest tu czasowo. Ale gdy wróci do domu, wszystko będzie jak dawniej. Spacer, pieszcoty, jedzenia do syta... To, co dla wielu pozostanie nie znane, a co dla niektórych jest tylko wspomnieniem. Nie próbował przyjaźnić się z nami. Nikt z nas o to też nie zabiegał. Był obcy.

W schronisku jest ich około siedemdziesiąt. Same mieszane. Rasowych nie ma. Jeżeli już są — to tylko na przechowaniu i w tzw. hotelu przebywa taki właśnie arystokrata.

Większość psów oddawana jest do schroniska przez właścicieli. Niektóre z nich przestały być użyteczne. Inne urosły za duże lub okazały się zbyt brzydkie. Są i takie z ulicy — bezpańskie. Schwytane podczas łapanek. Zainteresowanych nabyciem psa jest niewiele. Miejski pan pragnie mieć psa reprezentacyjnego (dla parady). Natomiast wiejskiemu gospodarzowi potrzebny jest stróż do pilnowania obęjsia lub owiec.

Nowo przybyłe psy zajmują boksy w budynku. Starsze mają więcej swobody i powietrza. Żyją na wybiegu. Wszystkie psy mają swoje miski. Karmione są przeważnie nabiałem. W Lublinie schronisko dla bezdomnych zwierząt mieści się w dzielnicy Węglin przy al. Krasnicka.



# WESOŁA REWOLUCJA

## Rozmowa z dr. Jrzim Rakiem i dr. Michalem Braganem, członkami praskiego Forum Obywatelskiego

— Czeskosłowacja jest w tej chwili punktem zainteresowania dziennikarzy całego świata. Czy mogliby panowie podać krótką historię waszej rewolucji?

**J. Rak:** — Od połowy lat 70. coraz więcej ludzi zaczęło zdawać sobie sprawę z tego, że okres dwudziestoletnich rządów ekipy Husaka to dla Czechosłowacji czas zmarnowany. Sporą rolę odegrały też przemiany demokratyczne w krajach sąsiednich. Ludzie zrozumieli, że wolność to nie jest slogan, lecz niezbywalne prawo każdego człowieka. Zaczęli o tym rozmawiać. Najpierw nieśmiało, między przyjaciółmi, później coraz głośniej. Aż wreszcie wyszli na ulice z demonstracjami.

**M. Bragan:** — Demonstracje uliczne zaczęły być formą nacisku na komunistyczną władzę. Były to oczywiście demonstracje pokojowe, ale zbierające coraz więcej ludzi. Aż doszło do 17 listopada, kiedy to kolejna demonstracja została zmasakrowana przez specjalną jednostkę antyterrorystyczną. Ten brutalny atak na ludzi krzyżujących: „Mamy gołe ręce” przepełnił czarę. W społeczeństwie przełamała się bariera strachu. W dwa dni później powstało Forum Obywatelskie.

— Jakie są założenia programowe Forum i jakie organizacje weszły w jego skład?

**J. R.:** — W skład Forum weszli przedstawiciele Karty 77, Czechosłowackiego Komitetu Helsińskiego, Kręgu Niezawisłej Inteligencji, Niezależnych Studentów, Czechosłowackiej Demokratycznej Inicjatywy, Czeskiego Pen-Clubu itp. Są tam także przedstawiciele Czechosłowackiej Partii Socjalistycznej, Czechosłowackiej Partii Ludowej oraz kilku byłych lub obecnych członków Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Krótko mówiąc — w ramach Forum skupiły się prawie wszystkie siły opozycyjne dążące do stworzenia w naszym kraju systemu demokratycznego.

**M. B.:** — Pierwsze żądania Forum były w deklaracji z 19 listopada. Sformułowano tam cztery punkty: ustąpienie ekipy odpowiedzialnej za interwencję z 1968 roku i dwudziestoletni okres zastojów (a więc Husaka, Jakešza, Fojtlika, Zavadila, Hofmanna i Indry); ustąpienie pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego w Pradze, Miroslawa Stepana i ministra spraw wewnętrznych Frantiszka Kincela, odpowiedzialnych za masakrę 17 listopada; ustanowienie komisji dla zbadania przyczyn i bezspornego ustalenia winnych takich zająć oraz uwolnienie więźniów politycznych.

**J. R.:** — To były pierwsze żądania. Ale już w tydzień później Forum opracowało deklarację „Czego chcemy”, będącą zbiorem zasad programowych. We wstępie do tej deklaracji czytamy m.in.: „Nasz kraj znajduje się w głębokim moralnym, duchowym, ekologicznym, socjalnym, ekonomicznym i politycznym kryzysie, który jest wynikiem niewydolności dotychczasowego systemu. Przez długie dziesięciolecia nie była realizowana zasada — kto ma władzę, musi czuć odpowiedzialność. Wszystkie trzy rodzaje władzy — ustawodawcza, wykonawcza i sądownicza — skupiły się w ręku jednej partii. Monopol KPCz na zajmowanie wszystkich ważnych stanowisk wytworzył niesprawiedliwy system, kaleczący całe społeczeństwo”. Następnie sformułowanych zostało 7 punktów programu Forum, dotyczących po kolei: prawa, systemu politycznego, polityki zagranicznej, ekonomii państwa, systemu socjalnego, ochrony środowiska i kultury. Ten program obowiązuje do dziś.

**M. B.:** — Powstanie Forum było niejako odpowiedzią na forowanie przez KPCz hasła „demokratyzacji”. Nasza reakcja była prosta: „My nie chcemy demokratyzacji, chcemy demokracji”.

— Wśród państw socjalistycznych Czechosłowacja uważana była za kraj o najwyższym poziomie życia. Czy nie jest więc zastanawiający fakt, że właśnie wy walczyliście o to, by mieć mniej? W Polsce istnieje przysłowie: „Daj kursę grzędę...”

**M. B.:** — Proszę nie zapominać, że nasz kraj bardzo wcześnie osiągnął duży stopień uprzemysłowienia. Szczególnie Czechy i Morawy to regiony typowo przemysłowe, i to już od początku dwudziestego wieku. Czechosłowacja przed II wojną światową była na dziesiątym miejscu w świecie, jeżeli chodzi o produkcję i poziom życia. Cóż więc dziwnego w tym, że chcemy walczyć o to, by nasz kraj odzyskał dawne miejsce? Pełne półki to jeszcze nie wszystko.

**J. R.:** — My chcemy pełnych sklepów, ale chcemy przede wszystkim wolności. Myślę, że Polakom nie jest trudno to zrozumieć.

— Dla nas, Polaków, Czechy były zawsze pewnym fenomenem lewicowości. Przecież KPCz zdobyła władzę drogą prawie legalną, w wyborach uzyskała bardzo znaczną liczbę głosów. Czy ten fenomen trwa do dziś?

**M. B.:** — Tradycje lewicowe były rzeczywiście bardzo silne, ale były to raczej tradycje socjalistyczne i socjaldemokratyczne. Nie można też zapomnieć o silnych tradycjach prorosyjskich, proslowiańskich. To przecież Rosjanie wyzwolili nas wiosną 1945 r., i o tym cały czas musimy pamiętać i pamiętać. Biorąc pod uwagę te dwa czynniki, sukcesy wyborcze lewicy w latach 1946—1948 nie były niczym dziwnym. Ludzie naprawdę wierzyli w to, co głosili lewicowi przywódcy — także przywódcy komunistyczni. Ale później przyszedł pierwszy szok lat 50. To była nauka. Kiedy ekipa Dubczeka zaczęła głosić „socjalizm z ludzką twarzą”, społeczeństwo znowu uwierzyło KPCz. To był szczytowy okres popularności tej partii. Niestety, został złamany obcymi czołgami. Wtedy właśnie, w 1968 r., upadł mit rosyjski, upadł też mit reformowania realnego socjalizmu.

**J. R.:** — Ale lewica w Czechosłowacji istnieje oczywiście dalej, choć grupy używające hasel komunistycznych są dzisiaj na marginesie. Ożyły grupy działaczy z 1968 r., tworzą się partie socjaldemokratyczne. Powstało też Demokratyczne Forum Komunistyczne, grupujące młodych członków KPCz. Co ciekawe, DFK jest czasami o wiele radykalniejsze w swoich żądaniach od innych grup Forum Obywatelskiego.

— Wspominali panowie o Aleksandrze Dubczeku. Jaka jest jego pozycja w obecnych wydarzeniach? Czy jest jeszcze szansą na to, by odegrał on jaką rolę polityczną?

**M. B.:** — Dubczek jest dla manifestujących przede wszystkim ucieleśnieniem legendy 1968 r. Ci, którzy dzisiaj krzyczą: „Dubczek na Hrad” (Praski Hrad to siedziba prezydenta republiki — przyp. red.), adorują Dubczeka jako symbol tamtej wiosny, tamtych nadziei. Ale popularność Dubczeka zaczyna już spadać. Znamienne było jedno z jego wystąpień na Placu Wacława. Gdy podchodził do mikrofonu, tłumy skandowały jego nazwisko, klaskaly, słowem panował nieopisany entuzjazm. Ale gdy skończył mówić, zęgnaly go tylko zdawkowe oklaski... Wydaje mi się, że nie ma już wielkich szans na to, by Dubczek był ponownie znaczącą postacią na politycznej arenie Czechosłowacji.

— Jak więc, według panów, rozwijać się będzie dalej czeskosłowackie życie polityczne? Czy nie skanalizujecie wszystkiego w Forum Obywatelskim?

**J. R.:** — Sądzę, że nie ma takiej groźby. Wacław Havel powiedział kiedyś, że Forum jest jedyną organizacją na świecie, która powstała tylko w tym celu, by się rozpaść. Oczywiście, po wyranej walce. Już teraz powstają bądź wracają na arenę polityczną nowe partie — socjaldemokratyczna, zielonych, agrarna. Czechosłowacja będzie ewoluowała w stronę normalnego, pluralistycznego systemu partyjnego. Takie właśnie są założenia Forum.

— Jaka jest rola Kościoła w obecnych wydarzeniach w Czechosłowacji? Esencją prasowy Forum, Wacław Malý, to przecież ksiądz, prymas Tomaszek nie ukrywa swojego poparcia dla przemian.

**J. R.:** — Kościół w Czechosłowacji zawsze był duchowo zaangażowany po stronie walczących o swobody demokratyczne. Przez pewien czas odgrywał rolę polityczną — był jedynym miejscem, w którym można było manifestować poglądy różne od oficjalnie uznawanych. Ale sądzę, że po dokonaniu się przemian Kościół wróci na swoje właściwe miejsce — do duchowej opieki nad wiernymi. Nie zapomnijmy, że mimo wszystko u nas Kościół ma znaczenie mniejsze niż np. u was — w Polsce. A ksiądz Malý to po prostu jeden z nas, działaczy Forum.

— Niedawno całą prasę światową obiegły spekulacje na temat „rozwiązania ołowowego” w Czechosłowacji. Mówiono o koncentracji armii wokół Pragi, o mobilizacji Ludowej Milicji. Co panowie sądzą na temat możliwości takiego rozwiązania?

**J. R.:** — Armia w Czechosłowacji nigdy nie miała takiego autorytetu jak np. w Polsce. U nas nie było tradycji walki zbrojnej, służba wojskowa nigdy nie była powodem do chwały. Ale sądzę, że armia w swej masie, żołnierze, młodzi oficerowie są po stronie większości narodu. Armia nie jest dla nas groźna. Ale o wiele większym niebezpieczeństwem jest możliwość interwencji Ludowej Milicji. O ile wiem, w Polsce nie ma takiej organizacji. Ludowa Milicja to uzbrojone w broń ręczną i maszynową, w lekką artylerię, a nawet w śmigłowce, oddziały aktywistów KPCz, podlegające tylko komitetom, niezależne od MSW czy Ministerstwa Obrony. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby któremś z wojewódzkich przywódców partyjnych przyszło na myśl, aby za pomocą tych właśnie oddziałów uratować w naszym kraju władzę KPCz. Zmasakrowaliby nas bez trudu. Stąd właśnie żądanie natychmiastowego rozbrojenia tej organizacji.

— Forum Obywatelskie skupia głównie przedstawicieli inteligencji. Czy nie było zatem prób wywołania w społeczeństwie nastrojów antyinteligentkich? Z własnej historii znamy takie przypadki...

**M. B.:** — Tak, były takie próby. Ale zawiody one głównie przez to, że „góra” partynia nie miała właściwej oceny sytuacji. Robotnicy zdają już sobie sprawę, że inteligencja walczy w interesie całego społeczeństwa. Coraz częściej wśród robotników słychać takie zdanie: „My chcemy dobrze pracować i za to chcemy być dobrze rządzeni. Przewodnia siła — to cały naród”.

— Jakże grupy masowe odgrywały największą rolę w czasie tej „praskiej jesieni”? Czy jest to sytuacja podobna do „wiosny” z 1968 r.?

**M. B.:** — W 1968 r. główną rolę odgrywali pisarze, dramaturdzy. Wiązało się to z ich znaczną wówczas pozycją w społeczeństwie. W latach 60. ruch intelektualizacji — jeżeli tak to można nazwać — był w naszym społeczeństwie bardzo silny. Stąd apele pisarzy spotykały się z dużym odzewem. Ale sytuacja się zmieniła. Środowisko pisarzy zostało rozbita, skłócone wewnętrznie. Część twórców wyjechała za granicę, część była na „emigracji wewnętrznej”, miała zakaz publikacji. Jednocześnie coraz większą rolę zaczęła odgrywać (lansowana przez władzę) telewizyjna pseudokultura. Stąd właśnie bierze się ten fenomen, że w dzisiejszych przemianach tak znaczną rolę odgrywają aktorzy, zwłaszcza ci znani z telewizyjnego ekranu. Ludzie im wierzą, bo ich znają. A bardzo wielu aktorów jest z nami. Nie tylko uczestniczą w obradach Forum i wiecach, lecz także jeżdżą w teren, do fabryk, spółdzielni rolniczych i tłumaczą tam nasze założenia.

**J. R.:** — Rozpowszechnianie informacji to w ogóle odrębny problem. Telewizja do niedawna była ściśle sterowana przez KPCz. Stąd właśnie natłok kłamstw płynących z telewizyjnych głośników. Także większość gazet była w rękach starego reżimu. Dwa dzienniki, należące do innych niż komunistyczna partia („Svobodne Slovo” — organ Czechosłowackiej Partii Socjalistycznej i „Lidova Demokracie” — organ Partii Demokratycznej), któ-

re zaraz po 17 listopada zaczęły pisać bez komunistycznej cenzury, miały olbrzymie problemy z kolportażem poza Pragą. Widziano podobno, jak wyrzucano z pociągów paczki z tymi gazetami. Np. do Usti nad Labą docierały tylko jeden, dwa egzemplarze. A przecież obydwa dzienniki znacznie podniosły nakład. Aby zapobiec tej „blokadzie”, studenci brali egzemplarze dzienników w plecaki, walizki, pod kurtki i rozwozili je na prowincję, aż na Słowację.

**M. B.:** — Teraz już zeszła nieco napór telewizyjnej demagogii. Forum ma już nawet własne programy — półtorej godziny dziennie.

**J. R.:** — Odżyły emblematy narodowe, znów znaczenia nabrały flaga i hymn Czechosłowacji. Myśleliśmy, że przez te ostatnie 20 lat naród nasz bardzo podupadł duchowo, zubożniał wobec spraw narodowych. Okazało się, że się myliliśmy. Na szczęście.

**M. B.:** — Mówiłem o studentach. Oni także odgrywają bardzo dużą rolę. Zajmują się praktycznie wszystkim — pełnią dyżury prawne, organizują pomoc medyczną, kręcą filmy z manifestacji, tworzą gazetki i biuletyny, a także, co ważne, czyszczą Plac Wacława i metro. Są wszędzie tam, gdzie potrzebna jest działalność społeczna, pomoc dla innych.

**J. R.:** — Ale nie powiedzieliśmy jeszcze o specyfice tej naszej rewolucji. To jest „wesola rewolucja”, jak to określił Havel. Humor, satyra, plakaty, karykatury, piosenki odgrywają olbrzymią rolę w tej walce. Czy może pan sobie wyobrazić 100-tysięczny tłum dzwoniący kluczami i wołający: „Ostatni dzwonek”? Albo inny przykład. Gdy powołano nowy rząd, w którym 3/4 miejsc mieli członkowie KPCz, to jeszcze tego samego dnia wieczorem w metrze wisiały już plakaty zapowiadające „program rozrywkowy w reżyserii pana Adamka, zatytułowany »Utworzenie nowego rządu«”. Ten humor pomaga.

— Jak wygląda sytuacja w Słowacji?

**M. B.:** — Tam, szczególnie w Bratysławie, działa Ruch Przeciwko Przemocy — związek ludzi przeciwko totalitaryzmowi, podobny do Forum praskiego. Wspólnie z nami pertraktują z władzami federalnymi. Ale ogólnie mówiąc, opozycja w Słowacji była słabsza niż w Czechach. Karta 77 to przede wszystkim sprawa czeska, podobnie ruchy ekologiczne. W Słowacji nie odczuwało się aż tak nacisku totalitaryzmu jak u nas, co wiązało się z ogólnym rozwojem tej republiki w latach 70.

— Jak Forum Obywatelskie ustosunkowuje się do kampanii antypolskiej, prowadzonej przez środki masowego przekazu podległe KPCz? Jak jest wasze podejście do stosunków czesko-polskich?

**J. R.:** — Obydwie strony, tj. rząd i my, próbujemy rozegrać polską kartę na swoją stronę. Oni straszą nas pustymi sklepami, kolejkami, inflacją. My mówimy, że wy jesteście wolni, a z gospodarką dacie sobie radę. Dla nas jesteście przykładem, ale jeżeli chodzi o działalność polityczną. Gospodarstwo jest to trochę inaczej.

**M. B.:** — O naszym stosunku do Polaków może zaświadczyć fakt, że czeskie organizacje ekologiczne (także te z Forum) walczą już od dwu lat o zamknięcie budowy koksowni w Stonavie. Wasi ekologowie chcą przecież tego samego. I wierzę, że to się uda.

— Co dalej z waszą rewolucją? Czy Havel będzie czeskim Wacławem?

**J. R.:** — Jeżeli chodzi o dalszy rozwój sytuacji, to jestem optymistą. Wygramy i to dosyć szybko. A co do Havla, to on sam zawsze mówił, że nigdy nie chciał i nie chce być politykiem. Jest dramaturgiem, człowiekiem teatru. Nie mógł wypowiedzieć się swobodnie, więc to zmusiło go do podjęcia działalności politycznej. Ale gdy zapanuje demokracja, Havel chce wrócić do pisania.

— Zycząc więc wam powodzenia, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Leszek Masierak

Wywiad ten przeprowadzono 7 grudnia. Następnego dnia Polskie Radio podało, że Wacław Havel jest w mniemaniu „niektórych członków Forum” kandydatem na Prezydenta Republiki. On sam nie odrzuca tej możliwości.



**P**ODOBNA jak „Ostoja” i „Gyzm” drogą na Lubelszczyznę przybył (kolejny ze „starszeństwa skoku”) „Cichociemny”, por. art. rez. **ROMAN ANTONI KAROL ROMASZKAN**, ps. „Tatar”, „Maria”.

W kampanii wrześniowej walczył jako oficer ogniowy II baterii 8-go pal, w składzie 8 Dyw. Piechoty, poważnie postrzępionej już 4.09.39 r. natarciem niemieckiej „Grupy Pancerniej Kempf” w rejonie Przasnysza i Ciechanowa. Z resztkami dywizji zdołał wycofać się pod Modlin i brał do końca udział w obronie tej twierdzy. Tam też po kapitulacji dostał się do niewoli niemieckiej, z której jednak po kilku dniach zbiegł i przez Węgry dotarł do Francji, gdzie walczył w 4 pal w 4 Dyw. Piechoty. Przedostał się następnie do Anglii, wcielony początkowo do 4 BKS, by wkrótce zmienić przydział na SBS pad.

Po odbyciu kursu spadochronowego i przeszkoleniu w dywersji, skoczył do Kraju w nocy z 8 na 9 IV 1942. Tu odkomenderowany na stanowisko dowódcy patrolu dywersyjnego w V Odcinku „Wachlarza”, pełnił tę służbę do wiosny 1943. Po rozwiązaniu „Wachlarza” odkomenderowany do „Kedywu” Kielce jako oficer bazy w Warszawie. We wrześniu 1943 przeniesiony został do „Kedywu” Komendy Głównej i pełnił tam funkcję instruktora w bazie wołyńskiej. W czerwcu 1944 w związku z „Burzą” przeniesiony został do 27 Dywizji Piechoty (wołyńskiej) i wraz z nią przeszedł na tereny Okręgu Lubelskiego, służąc w szwadronie kawalerii dywizyjnej.

Aresztowania i internowania szczęśliwie uniknął. Odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu „Virtuti Militari”, zmarł w Kraju w 1956 r. w wieku zaledwie 46 lat.

**N**IECO podobnie kształtowały się koleje losu następnego z lubelskich „Cichociemnych”, **MICHAŁA FIJAŁKI**. Ten, urodzony w 1915 r. podporucznik rezerwy, kampanię wrześniową odbył w szeregach 5-go pułku strzelców podhalańskich. Kolejna droga wiodła podobnie: przez Węgry do Francji. Tam uzyskał przydział do baonu p-panc. w 2-ej Dyw. Strzelców Pieszych. W Wielkiej Brytanii wcielony został do 1 Brygady Strzelców, a następnie odbył kurs spadochronowy i dywersyjny.

Skakał w nocy 1/2 września 1942. Początkowo pełnił służbę w II Odcinku „Wachlarza”, następnie przeniesiony na III Odcinek, gdzie uczestniczył w akcji odbicia więźniów w Pińsku, akcji, dowodzonej przez „Ponurego”, a stanowiącej jedno z najbardziej brańwowych działań tej wspaniałej dywersyjnej formacji.

Od marca 1944 w Okręgu AK Wołyń, był zastępcą komendanta Inspektoratu Rejonowego Kowel, gdzie organizował zgromadzenie partyzanckie, przekształcone później w baon „Sokół” — późniejszy I Baon 50 Pułku Piechoty AK w 27 D.P.

Na Lubelszczyźnie walczył od czerwca do końca lipca 1944 jako d-ca baonu. Jest autorem cennej, fródtłowej pracy pt. „27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK” (wyd. PAX, Warszawa 1986). W czasie służby w Kedywie używał pseudonimu „Kawa”; w czasie walk na Wołyniu i w Lubelskiem — „Sokół” i „Wieśniak”.

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari”, 3-krotnie Krzyżem Walecznych oraz Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, zmarł w Lublinie 20 września 1983 r.

**T**EJ samej nocy z 1 na 2 września 1942 w ekipie nr XI (operacja lotnicza „Smallpox”) skoczył razem z ppor. „Kawą” — porucznik służby stałej żandarmerii o pseudonimie „Dor” — **LEONARD SZCZĘŚNY ZUB-ZDANOWICZ**.

W kampanii wrześniowej służył w 29 Dywizji Piechoty, która została poważnie poszczerbiona w dniach 5-6 września 1939 pod Piotrkowem, a po wycofaniu za Wisłę, odtworzona jako 29 Brygada Piechoty, uczestniczyła w walkach pod Krasnobrodem i Tomaszowem Lubelskim. Por. Zub-Zdanowicz przedostał się przez Węgry do Francji. Uczestniczył w bitwie o Narvik w szeregach Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich. W Anglii przeszkolony został w dywersji.

Skok do Kraju w okolicach Grójca skomplikował się złamaniem nogi — niemniej cała 6-osobowa ekipa dotarła do Warszawy. Mylnie podany adres kontaktowy o mały włos nie spowodował „wspyy”, ale ostatecznie wszystkim skończyło się pomyślnie. Por. „Dor” otrzymał przydział do Odcinka III „Wachlarza” — służby jednakowoż tej nie pełnił długo, ponieważ zdezerterował do Narodowych Sił Zbrojnych, w tym czasie jeszcze nie scalonych z Armią Krajową.

Jesienią 1943 znalazł się w Lubelskiem; używał wtedy pseudonimu „Zab” i dowodził w rejonach południowo-zachodnich plutonem NSZ w sile około 30-40 ludzi. Był to oddział dobrze uzbrojony i wyszkolony, ale oczywiście niechęć dowódcy do podporządkowania się rozkazom o scaleniu sprawiła, iż nieskoordynowana działalność bojowa plutonu była nierzadko źródłem niepotrzebnych nieporozumień i konfliktów, zarówno z oddziałami partyzantki sowieckiej i oddziałami AL, jak i nawet z oddziałami AK.

W sierpniu 1944 oddział „Zeba” przeszedł na lewy brzeg Wisły i dołączył do „Brygady Świętokrzyskiej”, z którą przez Śląsk, Czechy i Jugosławię przeszedł do amerykańskich wojsk okupujących Niemcy. Finałem tej bezprecedensowej Odysei było dotarcie do 1-go Korpusu. Tu rozkazem gen. Władysława Andersa por. Zub-Zdanowicz zweryfikowany został w stopniu rotmistrza. Zmarł na emigracji w USA w 1982 r.

**N**OC z 1 na 2 paźdz rnika 1942 r dała w operacji lotniczej „Gimlet” zrzut ekipy „Cichociemnych” nr XIV, w skład której wchodziło aż trzech oficerów, których losy w przyszłości związały się najściślej z Lubelszczyzną.

Zrzut przyjęła placówka „Zamek”, położona kilkanaście kilometrów na północ od Dębina. Operacją dowodził doświadczony nawigator, kpt. Stanisław Król. Mimo niepełnej sprawności łączności optycznej „ziemia — samolot”, dowódcą zarządził zrzut, niezbyt celny. — z dużym rozrzutem skoczków. Jeden z nich, por. Władysław Klimowicz ps. „Tama”, omal nie udusił się, zdławiony taśmą zasobnika, i tylko natychmiastowa pomoc kolegów uratowała mu życie. Drugi, ppor. **JAN POZNAŃSKI**, doznał złamania nogi. Pozostali wylądowali prawidłowo.

Losy ppor. Poznańskiego były szczególnie poplątane. Pod pseudonimem „Pływak” został — po wywiezieniu złamania — odkomenderowany do Okręgu Śląsk na stanowisko oficera dywersji. Ten rodzaj służby był jakby dla niego stworzony.

W roku 1939 nie walczył — nie został zmobilizowany. Mundur włożył dopiero we Francji — do której dotarł drogą przez Rumunię — w 1 pułku grenadierów 1 Dyw. Piechoty. W kampanii francuskiej ranny, dostał się do niemieckiej niewoli. Mimo rany, z niewoli czmychnął, przez Hiszpanię i Portugalię dotarł do Gibraltaru, a stąd — do Anglii. Tu odbył przeszkolenie najpierw w 1 Brygadzie Strzelców, a następnie przeszkolenie spadochronowe i kurs dywersyjny.

Okręg śląski był terenem szczególnie trudnym pod względem operacyjnym. Przyłączony do Rzeszy, gestapo zasiedlony przez Niemców miejscowych i przybyłych z Reichu, stwarzał znaczne trudności organizacyjne. Oparcie dla pracy konspiracyjnej stanowiły

## „CICHOCIEMNI” NA LUBELSZCZYŹNIE

Wojciech Kozłowski — „Tomek”

głównie ugrupowania byłych powstańców kolejnych powstań śląskich; te wszakże były w znacznym stopniu spenetrowane przez miejscowych Niemców, często dobrze znających, bliskich sąsiadów, ba, przyjaciół nawet. Równocześnie stosunkowo szybki odwrót oddziałów polskich w pierwszych dniach kampanii wrześniowej, nie sprzyjał zamelinowaniu większej ilości ocalałej broni — nieodzownej wszak przy podejmowaniu działań „wielkiej dywersji”.

Ppor. „Pływak” zaczął tedy od zakupów broni od łasych na łatwy — choć ryzykowny — zarobek Niemców. Przy dokonywaniu takiej właśnie transakcji został ujęty przez krakowskie gestapo. W czasie śledztwa oczywiście „ślaskany” nie był i... zdecydował się na zadeklarowanie współpracy. Jako „nowo zwerbowany” agent udał się do Warszawy, gdzie bezzwłocznie zameldował o swej „decyzji” przełożonym w „Kedywie”, podając równocześnie miejsce i dokładny termin spotkania, jakie miał odbyć z dwoma wyższymi oficerami „Sicherheits-Dienst”.

W oznaczonym dniu i godzinie do wskazanej kawiarerii wkroczył patrol bojowy „Kedywu”, likwidując obydwo oficerów niemieckich kilku celnymi strzałami i... raniąc przy okazji „konfidenta” w nogę. Rana była raczej symboliczna i ppor. Poznański przekazany został na teren Lubelszczyzny do dyspozycji szefa miejscowego „Kedywu”. Zmienił pseudonim na „Ewa” i odkomenderowany został do Inspektoratu Lublin — Puławy z zadaniem organizowania patroli partyzanckich i szkolenia ich do zadań „wielkiej dywersji”. Tu napotkał swego serdecznego przyjaciela i towarzysza skoku sprzed kilku miesięcy, ppor. Stanisława Jagielskiego — „Siapka”, który od kilku już miesięcy mozolnie wiązał oczka misternej siatki „Kedywu” Inspektoratu.

Obaj przyjaciele stwarzali znakomity team. Różniąc się bardzo zarówno wyglądem zewnętrznym, jak i temperamentem, uzupełniali się wzajemnie. Wspólna im była tylko do szaleństwa posunięta odwaga i umiejętność błyskawicznego podejmowania najtrudniejszych decyzji. „Ewa” był dosłownie uwielbiany przez żołnierzy. Staranne podejmowanie akcji i najważniejsza w tych warunkach cecha: umiejętność oszczędzania żołnierskiej krwi, wyrobiły mu szybko opinię „szczęśliwego dowódcy”. On sam o sobie był może i innego zdania — w gronie przyjaciół mawiał był często, że „tej wojny nie przeżyje”. Przecież!

Zginął przy blażej właściwie akcji likwidacji konfidentki gestapo w Opolu Lubelskim; ciężko ranny, uniesiony został przez swoich żołnierzy; zmarł po kil. kudziesięciu minutach po wycofaniu się. Pochowany nocą na leśnym cmentarzu koło Godowa — po wojnie przeniesiony jego szczątki na cmentarz parafialny w Opolu Lubelskim. Zginął jako pierwszy oficer „Kedywu” lubelskiego w dniu 23 października 1943 — w rok i trzy tygodnie po skoku do Kraju.

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari” i Krzyżem Walecznym.

**S**LAPEK” w Inspektoracie pozostał sam. Odczuł na pewno głęboko śmierć „Ewy”. Rok niepełny na młodszy od przyjaciela, ppor. **STANISŁAW MARIAN JAGIELSKI** walczył w 1939 roku w 6 D.P. gen. B. Monda, w 20 pułku piechoty. Z resztkami rozbitych batalionów wycofywał się spod Przyczyny

aż pod Tomaszów i Krasnobród; potem, w cywilnych łachach dotarł przez „zieloną granicę” do Rumunii i dalej do Francji, do 8-go pułku piechoty 3-ej D.P. Potem Anglia i Brygada Strzelców — tu zapewne poznali się i zaprzyjaźnili z „Ewą” — i skok do Kraju w tej samej operacji „Gimlet”.

Przydział na stanowisko szefa „Kedywu” Inspektoratu Lublin — Puławy był jego pierwszym i ostatnim przydziałem. Z tym tylko, że po śmierci „Ewy” musiał objąć dodatkowo dowództwo oddziału dyspozycyjnego, złożonego z kilku patroli: w sumie około 60 ludzi. Zaangażowany w pracy konspiracyjnej i dwońdziej ponad ludzkie siły, zapadł w początkach grudnia 1943 r. na zapalenie płuc. Ciężko chory, wysoko gorączkujący i ledwo trzymający się na nogach, dotarł na kwatery do maj. Ługów, gdzie zatrzymał się u miejscowego nauczyciela, Nowaka.

Kiedy rankiem 6 grudnia 1943 r. gestapo zjawiło się w Ługowie, by aresztować Nowaka, uważanego za „herszta bandy”, temu udało się zbiec, a gestapowcy aresztowali, zamiast męża, Nowakową (zginęła w śledztwie na Zamku w Lublinie) i — przy okazji — „Siapka”, legitymującego się dokumentami na nazwisko „Grzywacz”. Osadzili go na Zamku, początkowo nie orientując się kogo mają w swych rękach.

Ciężkie śledztwo rozpoczęło się dopiero w styczniu 1944 i trwało szereg tygodni. Podejmowane próby wydobycia go z więzienia nie powiodły się. Umierający z ciężkiej zgorzeli i posocznicy, wywieziony został na noszach do Kurowa i powieszony 6 marca 1944 r.

Kawaler „Virtuti Militari” V kl., awansowany do st. porucznika (pośmiertnie). Walczył w Kraju rok, miesiące pięć i 3 dni.

Pogrzebany w płytkim, zbiorowym grobie, wydobyty został zeń po nocy przez przyjaciół pod dowództwem por. „Przepiórki” i przeniesiony do trumny, którą w oznaczonym miejscu pogrzebano w okolicach Kurowa.

Po wojnie, również sekretnie, bo nawet trup poległego bohatera, ale przecież „zapłutego karła reakcji” straszyl jeszcze Ludową Władzę, ekshumowany, został ponownie i dziś spoczywa godnie, w miejscu oznaczonym, pod własnym nazwiskiem na parafialnym cmentarzu w Żyrzynie, w cieniu dorodnych kasztanów i bieli brzoźowych pni. Miejscowi ludzie tego grobu nie zapomnia. Na przekór wszystkiemu.

**T**RZECIM lubelskim „Cichociemnym” z ekipy nr XIV, zrzuconej w operacji „Gimlet”, nocą z 1 na 2 października 1942 był podporucznik piechoty, także oficer rezerwy, **MARIAN GOŁĘBIOWSKI**.

Boje w kampanii wrześniowej toczył w szeregach 49 pułku piechoty (w 11 D.P.) — tym sławnym pułku, który w nocy z 15 na 16 września 1939, natarciem wręcz, bez wystrzału, mało — z rozładowaną bronią (!) — rozbił elitarny SS-Regiment „Germania” w rejonie Szomłak i Muzyłowic, na zachód od Gródka Jagiellońskiego.

Dywizja, dowodzona przez gen. (późwczas jeszcze płk dypl.) B. Prugera-Ketlinga, została dosłownie rozbita na przedpolach Lwowa 30.09.39 pod koncentrycznym uderzeniem niemiecko-sowieckim. Do Lwowa dotarły pojedyncze, zdziesiątkowane bataliony.

Ppor. Gołębiowski do niewoli nie poszedł. Ruszył przez Rumunię do Francji. Tam walczył jako dowódca plutonu w 1 pułku grenadierów. Ranny, dostał się do niewoli niemieckiej, z której „pryanął” do nieokupowanej części Francji, przez Pireneje do Hiszpanii, potem do Portugalii i morzem do Gibraltaru. Stąd do Anglii było już niedaleko. W lipcu 1941 spotykamy go w 1 Brygadzie Strzelców, skąd szybko odchodzi na kurs spadochronowy i dywersyjny.

Bezpośrednio po skoku i nieodzownej „aklimatyzacji” dostaje przydział na Zamojszczyznę jako szef „Kedywu” Insp. Zamość. W październiku 1943 przeniesiony przez komendanta Okręgu na stanowisko komendanta Obwodu Hrubieszów, na którym pozostał aż do lipca 1944 r. Po wojnie represjonowany, w styczniu 1947 skazany na karę śmierci z zamianą na więzienie (Wronki) — opuścił Kraj w 1982 r. i dotąd przebywa w USA.

Odznaczony Krzyżem Srebrnym „Virtuti Militari” i awansowany do stopnia kapitana — używał w czasie swej służby pseudonimów „Irka”, „Ster”, „Korab” i „Swoboda” (pierwszy zakodował się w pamięci towarzyszy najlepiej).

(Koniec odcinka 2. — c.dn.)



## CZWARTEK 21 XII

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Coś za coś” — serial krym. prod. USA  
10.10 Domator: Nie dajmy się  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz film z serii „Świat, w którym żyjemy”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Małoletni — wojskowy program dokumentalny  
17.55 „Poza rok 2000” — film dok. prod. australijskiej  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży  
19.10 Interpelacje (1)  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Policjanci z Miami” — odc. pt. „Coś za coś” — serial krym. prod. USA  
20.55 Interpelacje (2)  
21.35 Sport  
21.45 Pegaz  
22.30 Ring-Rock in Gospel (2) — program rozrywkowy  
23.05 Jutro w programie  
23.10 Język angielski (40)

**PROGRAM II**  
16.55 Język rosyjski (10)  
17.25 Program dnia  
17.30 Skarby kultury polskiej: „Modlitwa” — film dok.  
18.00 Program lokalny  
18.30 Bliższe spotkania III stopnia: Polak — Japończyk — reportaż Leona Popielarza  
19.00 Magazyn „102”  
19.30 Zielone kino: „Opowieść o rybach” — film przyrodniczy  
20.00 Wielki sport: Puchar świata w narciarstwie alpejskim  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Perły z lamusa: „Zakazana planeta” — film fab. prod. USA  
23.35 Komentarz dnia

## PIĄTEK 22 XII

## PROGRAM I

8.35 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Kino Teleferii: „Gardar powraca” — film prod. ZSRR  
10.30 „Wesołych świąt” — film fab. TP  
11.25 Domator: Kłaczyna Pospieszńska poleca  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej  
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport — publicystyka międzynarodowa  
17.55 „Lecznica dusz” — film dok. Wiesława Głowacza  
18.25 Rzeczpospolita samorządna — program publicystyczny  
18.45 Weekend w Jedyne  
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Dekalog, trzy” — film fab. prod. polskiej  
21.05 Kontrapunkt  
21.35 Sport: Hokej  
22.25 Spór o jutro: Otwarte studio  
22.35 Dt — echa dnia  
23.45 Spór o jutro: Otwarte studio (cd.)

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedźwiedziego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Święteczna Antena Dwójki  
18.50 Program muzyczny  
19.30 Dookoła świata: W Kenii  
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kino Antypodów: „Irlandczyk” — film fab. prod. australijskiej  
23.30 Komentarz dnia

## SOBOTA 23 XII

## PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz „Jelonek” (7) — serial produkcji jugosłowiańskiej  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 Żołnierskie wigilie — wojskowy program dokumentalny  
11.25 Z Polski rodem — magazyn polonijny  
11.55 „Oratorium wigilijne” — film dok. Grzegorza Dubowskiego  
12.25 Telewizyjny Teatr Prozy: Henryk Rzewuski — „Pamiętki Soplicy”

14.30 Filmy o miłości: „Trędownata” — prod. polskiej  
16.00 Boże Narodzenie z polskimi „Słowikami”  
16.25 Do trzech razy sztuka — program Bożeny Walter  
16.55 Antena  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Wspomnienie o Jerzym Kucuczce” — dokument fabularyzowany prod. francuskiej  
18.05 Butik  
18.35 Kolędy śpiewa Ryszard Karczykowski  
19.00 Wieczorynka: Kubuś Puchatek  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Rififi po sześćdziesiątce” — komedia obyczajowa prod. polskiej  
21.25 Sport  
21.45 Kolędy trochę inne — kolędy patriotyczne  
22.30 Ulica wielkiej kolędy — wiersze pod choinkę  
22.50 Plotka, miłość, zemsta — śpiewa Kazimierz Kowalski  
23.20 Telegazeta i program na jutro  
23.25—0.15 „Dwójka karo” (1) — serial krym. prod. USA

## PROGRAM II

13.30 Czas akademicki — Katolicki Nurt Stowarzyszeń Akademickich  
14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących — „Requiem Polskie” K. Pendereckiego w wyk. Olsztyńskiej Pantomimy Głuchych  
14.25 „5—10—15” — program dla dzieci i młodzieży  
15.55 Małe kino: „Pastorałki” — film Jana Łomnickiego  
16.25 Telewizyjny koncert życzeń  
16.55 Powitanie: Kraków na antenie Dwójki  
17.00 Wielka gra — wydanie świąteczne  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Kraków na Antenie Dwójki  
21.10 Muzyka i polityka: Kolęda — pieśń zgody  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Odnalezione marzenia” — film fab. prod. angielskiej  
23.25 Kolędy Hanny Banaszak  
23.35 Komentarz dnia  
23.40 Kraków na dobranoc

## NIEDZIELA 24 XII

## PROGRAM I

8.25 Program dnia  
8.30 „Idziemy z wilią”  
9.00 Święteczna niespodzianka  
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza”, cz. I — film prod. kanad.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.35 „Złoto” (1) — „Śladami Jacka Londona” — serial dokumentalny prod. włoskiej  
11.15 Powitanie z Poznania — „Dziadek do orzechów” — fragment baletu w wyk. Polskiego Teatru Tańca  
11.25 Pozdrowienia ze świata — relacje korespondentów TVP z przygotowań świątecznych w stolicach europejskich  
11.40 Świat wielkiego sportu  
12.20 „Prezenty pod choinkę”  
12.25 „Wigilie u przyjaciół” — widowisko poetyckie  
12.45 „Narodziny” — widowisko poetyckie  
13.00 „Wielkopolski stół wigilijny” — widowisko publicystyczne  
14.15 „Lesna ballada” — widowisko poetyckie dla dzieci i młodzieży  
14.35 „Janka” (14) — serial prod. polsko-zachodniemieckiej  
15.05 „Panna dziedziczka” — serial prod. białoruskiej  
16.45 Pozdrowienia z Wiednia  
16.50 „Wigilijne posłanie”  
17.00 „Prezenty pod choinkę” — wigilia u prezydenta  
17.15 Teleexpress  
17.30 „Małenka miłość” — kolędy w plenerach wieczornego Poznania  
17.55 „Oplatki polskie” — widowisko poetyckie Teatru Nowego w Poznaniu  
18.20 „Kolędować małemu...” — kolędy i pastorałki  
19.00 Wieczorynka: „Kubuś Puchatek”  
19.30 Wiadomości  
20.00 Homilia prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa  
20.25 „Trzej mężczyźni i dziecko” — francuska komedia obyczajowa  
22.05 „Wigilie polskie” — program poetycko-muzyczny  
23.05 „W sercach otucha” — Włodzisław Korcz zaprasza — kolędy  
23.35 „Concerto grosso” — na Boże Narodzenie gra Orkiestra Kameralna PRiTV  
23.55 Pasterka z Watykanu

**PROGRAM II**  
10.00 „Przegląd tygodnia” (dla niesłyszących)  
10.35 Film dla niesłyszących: „Trzej mężczyźni i dziecko” — komedia prod. francuskiej  
12.15 Powitanie

12.20 Polska Kronika Filmowa  
12.30 Kino familijne: „Autostrada do nieba” — „Samotny”, film prod. USA  
13.20 Royal Albert Hall — koncert Fundacji na Rzecz Dziecka  
14.20 „100 pytań do...”  
15.00 „Ulice polskie” — program publicystyczny  
15.30 Benefis Ireny Santor  
16.25 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowni ludów nad Pacyfikiem” (8) — serial dokumentalny prod. australijskiej  
17.30 „Blżej świata” — przegląd telewizyjny satelitarnych  
19.00 „W labiryncie” — świąteczne spotkanie z twórcami serialu  
19.30 Kolędy Lutosławskiego — śpiewa Jadwiga Rappe  
20.00 „Zylam sztuką...” — słynne Toski o sobie i swym wzorze  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Adam” — impresja filmowa o twórczości Adama Myjaka  
22.10 Komentarz dnia  
23.15 „Zwierzęta mówią”  
23.25 „Akademia wiersza” — „Brata Franciszka narodzinowa przypowieść” — Jerzy Weintraub

## PONIEDZIAŁEK 25 XII

## PROGRAM I

8.55 Program dnia  
9.00 Święteczna niespodzianka  
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza” cz. 2 — film prod. kanad.  
10.30 „Kupa kamieni” — film dok. Ryszarda Wareckiego  
11.00 Telewizyjny koncert życzeń — wydanie świąteczne  
12.00 Akademia filmowa: „Ninoczka” — film fab. prod. USA. Reż. Ernst Lubitch. Wyk.: Greta Garbo, Melvyn Douglas  
13.45 Biały zeszyt — gwiazdkowe piosenki śpiewa Jan Bo.  
14.10 Ten najpiękniejszy dzień — Ewa Bem śpiewa piosenki dla dzieci  
14.55 „Z dalekiego kraju” — film prod. włosko-angielskiej. Reż. Krzysztof Zanussi  
17.15 Teleexpress  
17.30 Zaświeć gwiazdo nam — kolędy i pastorałki śpiewa Grażyna Switała  
18.00 Premiera w „Qui pro Quo” — kabaret Zenona Wiktorczyka  
19.00 Wieczorynka: Kubuś Puchatek  
19.30 Wiadomości  
20.05 Teatr Telewizji: Marian Hemar — „Dwaj panowie B.”. Reż. Janusz Majewski  
21.40 Elton John w Weronie  
22.20 Sportowe przeboje roku  
23.25 „Dwójka karo” — „Trucizna” — serial krym. prod. USA

**PROGRAM II**  
11.15 „Darby O'Gill i krasnoludki” (1) — film prod. USA  
12.00 Powitanie  
12.10 „Polacy”: Wałęsa — film dok.  
13.15 „Nasz jest ten dzień” — program dok.  
13.50 Bogusław Kaczyński zaprasza — w programie m.in. „Kolędy polskie”  
16.50 „Kolędy polskie w Betlejem” — reportaż  
17.20 „French Saunders Christmas Special” — film muz. z udziałem Alison Moyet  
18.00 „Kochany tatusiu” — film dok.  
18.20 Wołanie Eurydyki — recital Hanny Banaszak  
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic: Henryk Szolimowski  
19.30 „Gdzie się podziała Madonna” — reportaż  
20.00 „Ballada o drodze” — program poetycko-muzyczny  
20.55 „Apostołowie pojednania” — reportaż  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Kino Antypodów: „Srebrne miasto” — film fab. prod. australijskiej  
23.25 Komentarz dnia  
23.30 „Kolędy baletowe” — tańczy Ewa Wycichowska

## WTOREK 26 XII

## PROGRAM I

8.55 Program dnia  
9.00 Święteczna niespodzianka  
9.20 „Ania z Zielonego Wzgórza” (3) — film prod. kanad.  
10.30 „Tajemnice piękna Japonii” — film dok.  
11.20 Video-top  
11.50 W Starym Kinie: „Antek, policmajster” — polski film z 1935 roku. Reż. Michał Waszyński  
13.30 Teatr dla dzieci: Maria Guzy: „Dwie Dorotki”. Reż. Maria Guzy  
14.40 „Zylam sztuką, zylam miłością” — film dok. o Wandzie Werwińskiej. Reż. Maria Erdman  
15.40 Dzień wolności — recital Izabeli Trojanowskiej  
16.20 „Ginące zawody” — „Witrazownictwo”  
17.05 Teleexpress

17.20 „Dodge city” — western prod. USA. Reż. Michael Curtiz  
19.00 Wieczorynka: Kubuś Puchatek  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Rzymianka” (1) — serial prod. wł. wg powieści Alberto Moravii. Reż. Giuseppe Patroni Griffi. Wyk.: Gina Lollobrigida, Francesca Dellera i in.  
21.35 Sport  
21.45 Gustaw Brom i jego goście  
22.45 Dziewczyny z platynowej płyty

## PROGRAM II

11.05 „Darby O'Gill i krasnoludki” (2 — ost.) — film prod. USA  
11.50 Powitanie  
12.00 Błękitna kolęda — pastorałki Ernesta Brylla i Edwarda Pałlasza  
12.30 „Boże Narodzenie” — film dok.  
13.00 „Polacy” — „Droga do środka” — film dok. o Kazimierzu Karasbaszu  
13.50 Biografie: „Opowieść o Andrew Lloydzie Webberze” — film dok. prod. ang.  
15.10 „Polacy” — „Bernard Ładysz — król basów” — film dok.  
16.00 Dookoła świata z Michaelem Jacksonem  
17.10 Za chwilę dalszy ciąg programu — program Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny  
18.00 Magazyn „102” — „40 minut na 40-lecie” — program o Marii Koterbskiej  
18.40 Modlitwa wieczorna z Sanktuarium Maryjnego we Wrocławiu-Piaskach  
19.00 Goście Daniela Passenta: Mario Binetti i Wiktor Szostak  
19.30 Kolędy polskie śpiewa Andrzej Hiolski  
20.00 „Rozświetlona noc” — świąteczny koncert Orkiestry Kameralnej PRiTV pod dyr. Agnieszki Duczmal  
21.00 Cicha woda — piosenki lat pięćdziesiątych  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Lew afrykański” — film fab. prod. USA. Reż. Kevin Connor.  
23.30 Komentarz dnia  
23.35 Zaśnijcie i ty — program poetycko-muzyczny

## ŚRODA 27 XII

## PROGRAM I

8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Kino Teleferii: „Baśń o zaczarowanych koralikach” cz. 1 — film fab. prod. ZSRR  
10.30 „Zabawy młodych” — film fab. prod. ZSRR. Reż. Jewgienij Gierasimow  
11.30 Domator: Giełda pomysłów  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Teleferie: Hocki-klocki  
17.15 Teleexpress  
17.30 Gry wojenne  
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy  
18.15 Dawniej niż wczoraj — magazyn historyczny  
19.00 Dobranoc: Wyprawy prof. Gąbki  
19.10 Oferty Pegaza  
19.30 Wiadomości  
20.05 Akademia filmowa: „Gospodarz stadniny” — dramat obyczajowy prod. węgierskiej. Reż. Andras Kovacs.  
21.40 Sport  
21.50 Plus-minus — program publ.  
22.20 Wokół Wielkiej Sceny — magazyn operowy Piotra Nędzyńskiego  
23.10 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 „Śpiewanie w kraju Basków” — reportaż  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Magazyn „102”  
19.00 „Hotel Zacisze” (10) — film prod. ang.  
19.30 Rewelacja miesiąca: Michail Borysznikow  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „W labiryncie” (52) — serial TVP  
22.15 997 — kronika krym.  
23.15 Komentarz dnia

## CZWARTEK 28 XII

## PROGRAM I

8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Kino Teleferii: „Baśń o zaczarowanych koralikach”, cz. 2 — film fab. prod. radz.  
10.30 „Policjanci z Miami” — „Bez wyjścia” — serial krym. prod. USA  
11.15 Domator: Giełda pomysłów  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Teleferie: Hocki — klocki  
17.15 Teleexpress



17.30 Poligon — wojskowy magazyn public.  
17.55 „Poza rok 2000” — serial dok. prod. australijskiej  
18.25 Magazyn katolicki  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Dwa kosy i kurek z ratuszowej wieży  
19.10 Interpelacje cz. 1  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Policjanci z Miami” — „Bez wyjścia” — serial krym. prod. USA  
20.55 Interpelacje cz. 2  
21.35 Sport  
21.45 Pegaz  
22.30 Dance With a Stranger — recital zespołu norweskiego  
23.00 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Psychostudio  
18.00 Program lokalny  
18.30 Spotkanie z psychoterapeutą Anatolijem Kaspirowskim  
19.30 Zielone kino: „Opowieść o owadach” — film przyr.  
20.00 Wielki tenis  
21.00 Ekspres reporterów  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Feliks Falk „Aktorki”.  
22.55 Komentarz dnia

## PIĄTEK 29 XII

## PROGRAM I

8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Kino Teleferii: „Dumbo” — film animowany prod. USA  
10.25 „Dekalog, cztery” — film TP  
11.20 Domator: Giełda pomysłów  
15.50 Program dnia i Telegazeta  
15.55 Interesujący  
16.25 Teleferie: Hocki — klocki  
17.15 Teleexpress  
17.30 Raport  
17.50 Skarbiec —  
18.30 Rzeczpospolita samorządna — program public.  
18.50 Weekend w „Jedynce”  
19.00 Dobranoc: Węgierskie bajeczki  
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Dekalog, crtery” — film TVP, reż. Krzysztof Kiesłowski  
21.00 Sport  
21.10 Kontrapunkt  
21.40 Lex — magazyn społeczno-prawny: „Zmiany w Konstytucji PRL”  
22.25 „Sciany między ludźmi” — widowisko autorstwa Wojciecha Młynarskiego (1980 r.)  
23.20 Dt — echa dnia

## PROGRAM II

17.25 Program dnia  
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego  
18.00 Program lokalny  
18.30 Program publicystyczny  
18.50 Hity z orbity  
19.30 Dookoła świata: „Na wyspach odkrytych w Boże Narodzenie”  
20.00 Tele-dziwiątka  
20.50 „Antyczny świat prof. Krawczuka”: Arystoteles  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Tai pan” — film historyczno-przygodowy prod. USA.  
23.45 Komentarz dnia

## SOBOTA 30 XII

## PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce  
8.20 Na zdrowie  
8.55 Program dnia  
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz „Jelonek” (8)  
10.30 Dt — wiadomości  
10.40 „Ten czernasty” — film dok.  
11.10 „... a miłość przetrwała” — program dok.  
11.40 Laboratorium  
12.10 Telewizyjny koncert życzeń  
12.40 Fotomagazyn „Powiększenie” (wydanie ostatnie)  
13.00 Telewizyjny Teatr Prozy: Tomasz Mann „Lotta”. Reż. Maciej Wojtyśko. Wyk.: Anna Polony, Wiktor Sadecki, Beata Paluch, Elżbieta Kar-

koszka, Mieczysław Grąbka, Jan Peszek i inni  
14.35 Flesz — magazyn muzyczny  
15.15 Stare Kino: „Oszuści” — film fab. prod. franc.  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio sport: Turniej Czterech Skoczni  
18.30 Butik  
19.00 Dobranoc: Przygody Misia Colargola  
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Czego się boimy? (1)  
19.30 Wiadomości  
20.05 Sobotni seans filmowy: „Między ustami a brzegiem pucharu” — film fabularny prod. pol.  
22.00 Sport  
22.20 Rok w polityce — komentuje Karol Szyndziolorz  
22.40 Szafa — program rozrywkowy  
23.25 Telegazeta  
23.30 Kino sensacji: „Stres” — film fabularny prod. franc.

## PROGRAM II

10.40 Trzy godziny z TV Katowice  
13.40 Wrocławskie Europejskie Spotkania Młodych  
14.40 Powitanie  
14.50 Zecchino d'Oro — koncert chóru dziecięcego z Włoch  
15.45 Studio sport  
16.15 Z batutą i z humorem (4) — zaprasza Maciej Niesiołowski  
17.00 Legendy filmu: The Beatles  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Opowiem ci o miłości — program muzyczny  
19.00 Hale and Pace — program rozrywkowy  
19.30 Alfa i omega: Tajemnica gwiazdy betlejemskiej  
20.00 Teresa Kubiak i WOSPRITV  
21.00 Rytm'89 — konkurs tańca towarzyskiego  
21.30 Panorama dnia  
22.00 „Wojna i pamięć” (18) — serial prod. USA  
23.00 Jacek Stwora: Co jest za tym murem? (9) — „Broda zwyciężył” — monodram w reż. Stefana Szlachtyca  
23.20 Komentarz dnia

## NIEDZIELA 31 XII

## PROGRAM I

8.50 Program dnia  
8.55 Dla młodych widzów: „Pamiętne lato” — film fab. prod. USA.  
10.30 Dt — wiadomości  
10.35 „Złoto” (2) — serial dok. prod. włoskiej  
11.10 Widziane od środka — przegląd publicystyczny wydarzeń rolniczych roku 1989  
11.35 Telewizyjny koncert życzeń  
12.20 Pieprz i wanilia: Z wiatrem przez świat; Czarna Macumba  
13.10 „Janika” (15 — ost.) — serial prod. pol.  
13.40 Sopot zimą — impresja filmowa  
14.00 Magazyn „Morze”  
14.20 Antena  
14.40 Krystyna Mazurówna przedstawia  
15.05 „Panna dziedziczka” — serial prod. brazył.  
16.45 Temat na clip — recital zespołu Papa Dance  
17.15 Teleexpress  
17.30 Dyskoteka pana Jacka — program dla dzieci i młodzieży  
18.30 Party — recital Wojciecha Gąsowskiego  
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy kaczora Donalda  
19.30 Wiadomości  
20.00 Orędzie noworoczne  
20.30 „Menadry miłości” — film fab. prod. angielsko-zachodnio-niem.  
22.00 Program rozrywkowy  
22.55 Premie i premiery  
24.00 Zyczenia noworoczne  
0.25 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Viva Las Vegas” — film fab. prod. USA (1964). Reż. George Sidney. W roli głównej Elvis Presley  
1.55 Program rozrywkowy

3.15 Peter's pop show — rewia światowych przebojów 1989 r.  
4.00 Zakończenie programu

## PROGRAM II

10.25 „Wszystkie chwytły dozwolone” — komedia prod. włoskiej  
11.50 Powitanie  
12.00 Polska Kronika Filmowa  
12.10 Kino rodzinne: „Bajarz” — „Mój jeź Hans” — film prod. ang.  
12.40 Niektórym udaje się dwa razy: Tina Turner show  
13.30 100 pytań do...  
14.10 „Polacy”: „Kocham życie — Pietrzak Jan” — film dok.  
15.05 „Strachy na lachy” — serial animowany prod. ang.  
15.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Wędrowniacy nad Pacyfikiem” (9) — serial dok. prod. austral.  
16.50 Fenomeni sportu  
17.30 Bliżej świata  
19.00 Wzrockowe przygotowanie do Sylwestra  
19.30 Galeria 37 milionów — grafika Zbigniewa Lutomskiego  
20.00 Orędzie noworoczne  
20.30 Wzrockowe przeboje roku 1989  
21.30 Panorama dnia  
22.00 „Barbarosa” — western prod. ang. Reż. Fred Schepisi  
23.25 Wzrockowa dyskoteka Marka Niedźwieckiego  
23.55 Zyczenia noworoczne z Placu Zamkowego w Warszawie  
0.10 Non stop kolor: „Supernoc rock and rolla” — film dok.  
1.40 „Powróćmy jak za dawnych lat”

## PONIEDZIAŁEK 1 I

## PROGRAM I

8.50 Program dnia  
8.55 Dla młodych widzów: „Lew, czarownica i stara szafa” — film fabularny prod. USA  
10.30 „Złoto” (3) — serial dok. prod. włoskiej  
11.10 Było, minęło, czyli rok w kulturze  
11.40 Dt — wiadomości — oraz powtórzenie orędzia noworoczego  
12.15 Koncert noworoczny z Wiednia  
13.30 W Starym Kinie: „Flip, Flap i inni” — film fab. prod. amerykańskiej. Reż. Robert Yongson.  
15.30 Studio Sport: Przeżyjmy to jeszcze raz  
16.20 Największy z największych — koncert gwiazd swinga. Wyk.: Duke Ellington, Ella Fitzgerald, Dave Brubeck, Count Basie  
17.15 Teleexpress  
17.30 Studio Sport: Turniej Czterech Skoczni — Garnisch-Partenkirchen.  
18.20 „Ta chwila na teatrze, czyli kompozycje teatralne Wojciecha Głucha”  
19.00 Wieczorynka: Siostrzeńcy Kaczora Donalda  
19.30 Wiadomości  
20.05 Teatr Telewizji: Sławomir Mrożek „Vatylav”, Reż. Kazimierz Dejmek.  
21.35 Sport  
21.45 Musicale — śpiewa Zdzisława Sośnicka.  
22.30 Telegazeta  
22.35 Zyczenia Interwizji

## PROGRAM II

11.30 Iwona Niedzielska zaprasza  
12.00 Powitanie  
12.10 „Dziadek do orzechów” — „Jak powstaje balet” — reportaż  
13.10 Co wróży światu rok 1990? — konferencja dziennikarzy zagranicznych  
13.50 „Jarmark w Nashville” — reportaż Korneliusza Pacudy.  
14.40 „Polacy” — „Kisiel” — film dok. Mariana Terleckiego o Stefanie Kisielewskim.  
15.25 Musicale (1) — gra orkiestra Zbigniewa Górnego  
16.10 „Złodzijski spadek” — film fabularny prod. franc.  
17.40 Godzina z Wojciechem Młynarskim  
18.40 „Podróże Lecha Wałęsy” — film dok.  
19.30 „Ravi Shankar w Warszawie” — reportaż  
20.00 Szansa — dziewczyna roku 1989 — finał teleturnieju

21.30 Panorama dnia  
21.45 „Siedem razy kobieta” — film fab. prod. USA. Reż. Vittorio de Sica.  
23.30 Komentarz dnia

## WTOREK 2 I

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 „Rzymianka” (2) — serial prod. włoskiej  
10.40 Domator: Rady na życzenie  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla dzieci: Tik — Tak  
16.50 Kino Tik — Taka: „Cudowna podróż”  
17.15 Teleexpress  
17.30 Spojrzenia  
17.55 Klinika Zdrowego Człowieka  
18.15 W stronę rynku  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Przygody kłosa Damiana  
19.10 Od A do Z — program public.  
19.30 Wiadomości  
20.05 „Rzymianka” (2) — serial prod. włoskiej  
21.25 Sport  
21.35 „Mariszka Band” — film dok. prod. jugosł.  
22.05 Zawsze po 21-szej  
22.45 Dt — echa dnia  
23.00 Język rosyjski (11)

## PROGRAM II

16.55 Język angielski (41)  
17.25 Program dnia  
17.30 Klub ludzi z przeszłością  
18.00 Program lokalny  
18.30 Modlitwa wieczorna młodzieży  
18.50 Publicystyka  
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski  
20.00 Non stop kolor  
21.00 „W kręgu sztuki”: „Dzieje fotografii” (12) — serial dok. prod. ang.  
21.30 Panorama dnia  
21.45 Studio im. Karola Irzykowskiego: „Dom wariatów” — film prod. pol. Reż. Marek Koterski.

## ŚRODA 3 I

## PROGRAM I

8.35 Domator  
8.50 Domowe przedszkole  
9.15 Dt — wiadomości  
9.25 Film fabularny  
10.25 Domator  
16.20 Program dnia i Telegazeta  
16.25 Dla młodych widzów: Latający holender — Klub Zdobyców Oceanów  
16.50 Dla dzieci: Trąba  
17.15 Teleexpress  
17.30 Sensacje XX wieku  
17.55 Telewizyjny informator wydawniczy  
18.15 Dawniej niż wczoraj  
18.45 10 minut  
19.00 Dobranoc: Wyprawa Baltazara Gąbki  
19.10 Oferty „Pegaza”  
19.30 Wiadomości  
20.05 Zwierciadło czasu: „Blazen” — film prod. ZSRR.  
21.45 Sport  
21.55 Plus — minus — program publicystyczny  
22.25 „Mikrofon” — film dok.  
22.45 Dt — echa dnia  
23.00 Język angielski (41)

## PROGRAM II

16.55 Język francuski (9)  
17.25 Program dnia  
17.30 Program publicystyki kulturalnej  
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska  
18.30 Rozrywka  
19.00 „Hotel Zacisze” (11-ost.) — serial komediowy prod. ang.  
19.30 „Kuba” — program dok.  
20.00 „Wirtuozi wiolinistyki” — Magdalena Rezler  
21.00 „Ze wszystkich stron” — Przygraniczy z Afganistanem  
21.30 Panorama dnia  
21.45 „Przyjaciele” (1) — „Krew” — film prod. pol. Reż. Andrzej Kostenko.  
23.10 Telewizja nocą  
23.55 Komentarz dnia

relacje

ADRES REDAKCJI  
20-029 LUBLIN, UL. M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ 2  
20-950 LUBLIN, SKR. POCZT. 231

TELEFONY  
• 215-57 • SEKRETARIAT RED. NACZELNY  
• 205-34 • SEKRETARZ REDAKCJI  
• 202-91 • 208-59 • 233-88 • DZIENNIKARZE

ZESPÓŁ  
EWA CZERWIŃSKA (II SEKRETARZ REDAKCJI) • MIROSLAW DERECKI • TERESA DRAS (REDAKTOR TECHNICZNY)  
ZBIGNIEW DZIECIOŁEK • WIESŁAW HORABIK • WIOLETTA KRASNOWSKA • HENRYK PAJAK • ANDRZEJ W. PAWLUCZUK  
WALDEMAR PIASECKI • FRANCISZEK PIĄTKOWSKI (REDAKTOR NACZELNY) • MACIEJ PODGÓRSKI (SEKRETARZ  
REDAKCJI) • WALDEMAR STEPIENI (FOTOREPORTER) • LESZEK WIŚNIEWSKI (Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO)  
IZABELLA WLAZŁOWSKA (WSPÓŁPRACOWNICA) • MICHAŁ ZIELIŃSKI • JANUSZ WRONA (GRAFIK) • KRZYSZTOF LAMCH  
BARBARA CABAN (KORBIKA) • BARBARA JASTRZĘBSKA • TERESA STERLUS (SEKRETARIAT) • ANNA  
WOJCIWICZ (GRZEGORZ BORZECKI)

WYDAWCA Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”

DRUK Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe. Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0660-8830.

Ogłoszenia przyjmują: redakcja oraz Biuro Ogłoszeń i Reklam, 20-950 Lublin, al. Racławickie 1, tel. 214-23, 200-61 w. 343.

Zam. 1735, 11.12.1989 r. B-1



## AD VOCEM

## ETOS

**E**TOS (z greckiego — ethos) to słowo ładne i modne, ale też wieloznaczne. Wywodzi się właściwie z antycznej retoryki, gdzie etos oznaczał charakter mówcy, w każdym razie stateczniejszy od zestawianego z nim patosu jako namiętności. W rezultacie etos tłumaczy się jako charakter, obyczaj czy zwyczaj, a od tego pochodzi z kolei etyka jako nauka o moralności, czyli o — najogólniej mówiąc — obyczajowych normach i ocenach postępowania w określonym środowisku.

Dzisiaj (tu i teraz) przez etos rozumie się najczęściej zespół wartości, będący podstawą wzorców postępowania i zachowania w społeczeństwie. W tym sensie mówi się ostatnio częściej o etosie pracy, a dokładniej o potrzebie jego odnowienia w okresie, gdy trzeba „od słów przejść do czynów”.

Etos pracy nie jest już tak wyraźnie zakorzeniony w antycznej tradycji, albowiem pracą fizyczną (zarobkową) zajmowali się niewolnicy i ludzie niższych stanów. Etos arystokracji wyrażał się przede wszystkim w kalokagathia — idealnej harmonii zalet duszy i ciała w bezinteresownym jednocześnie oddaniu ich dla służby publicznej i dobra swojego społeczeństwa i państwa. Niemniej praca była szanowana i nie przynosiła nikomu wstydu — hańbą jest nie pracować, pisał Hezjod (ok. 700 r. p.n.e.), zaś Tukidydes w trzy wieki później dodał: nie jest dla nikogo powodem do wstydu doznawać niedostatku, wstydem jest nie wydobyc się z niego przez pracę.

Dlaczego właśnie o pracy w świątecznym numerze? Pewnie dlatego że... nie chce pracować, niech też i nie je” (2 Tes. 3, 10). Może niewiele w nich etosu, ale dużo prawdy.

Arcus M.

**N**IEWIELE ośrodków dyplomatycznych na świecie świadomych jest faktu istnienia Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie z siedzibą w Londynie. Ostatnie stosunki dyplomatyczne tego rządu (z Watykanem) wygasły w 1967 roku. A jednak prawda, iż rząd taki istnieje, znana jest szeroko emigracji polskiej rozsiadanej po świecie i coraz częściej dostrzegana także u nas w kraju.

Różne do niedawna panowały osady na ten temat, różne bywają one i teraz. Rządy bez narodów to zjawisko stosunkowo rzadkie w historii świata, choć wielorakosć politycznych powiązań to — zwłaszcza w odniesieniu do Polaków — norma.

Czym jest zatem Rząd Polski na Uchodźstwie? Czy — jak to głoszone dotąd powszechnie w PRL — klubem starszych panów, nie potrafiących oderwać się od zabawy w politykę, czy też upartym przedłużeniem ciągłości legalnych władz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej? A może ośrodkami emigracyjnej władzy, gotowej zawsze do dialogu z krajem, gdyby okoliczności polityczne tego wymagały? (Podobnie funkcjonował książę Sihanouk czy Chomeini podczas wygnania w Paryżu).

Jednoznaczna odpowiedź na postawione pytania wcale nie jest prosta. Z jednej bowiem strony — w polityce istnieje tylko to, co funkcjonuje w ramach powszechnie akceptowanych układów bądź w układzie powszechnie funkcjonujących sił (vide wizyty pani Thatcher czy Genschera u „nie istniejącego”, lecz „funkcjonującego” Wałęsy), z drugiej zaś strony — polityka to każde działanie o charakterze oznaczonym w definicji tego słowa.

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka w kraju o rząd polski na emigracji, skojarzenie dotyczyłoby wyjątkowo rzadko generała Sikorskiego. Nawet wielu Polaków osiadłych niedawno na emigracji w Anglii, zwłaszcza tych stroniących od lektury „Dziennika Polskiego”, nie przywoła w pamięci „Zamku” przy Eton Place. Związki kombatanckie, stowarzyszenia emigracyjne, cała szeroko pojęta Polonia dysponują własnymi odrębnymi władzami. Ba, nawet stara emigracja polityczna, jeśli tylko porzuciła dawną aktywność, na wzmiankę o Rządzie najczęściej uśmiecha się z zażenowaniem. A jednak Rządowi na Uchodźstwie użyli swoich nazwisk ludzie tej miary co August Zaleski, Edward Raczyński czy Kazimierz Sabbat.

W jednej z ostatnich deklaracji prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ryszarda Kaczorowskiego, czytamy, że

władze RP na uchodźstwie stanowią legalne przedłużenie rządu RP sprzed wojny i z czasu wojny; rządu, który nigdy nie pogodził się z pojaltańskim ładem w Europie i który gotów jest przekazać swe uprawnienia legalnie wybranemu rządowi Polski w wolnej, niepodległej i w pełni suwerennej Rzeczypospolitej. Już dziś Rząd wyraźnie akcentuje krajowy nurt, z którym identyfikacja jest możliwa (pisząc np. o Senacie Rzeczypospolitej Polskiej, lecz o Sejmie PRL).

Taka interpretacja zadań Rządu na Uchodźstwie nie pozbawiona jest pewnej, swoistej, historycznej racji. Kłopot tylko w tym, że Jalta się wydarzyła i że jej czterdziestopięcioletnie

## RZĄD POLSKI NA UCHODŹSTWIE

### Wiesław Horabik

działanie stworzyło na świecie ał nadmiar politycznych faktów dokonanych, cofanie zaś zegara historii o pół wieku jest zabiegami, który w konsekwencji musiałby doprowadzić do tragicznej powtórki z września 1939 roku. Musiałby — i piszę te słowa z pełną odpowiedzialnością. Już dziś zaczynają bowiem straszyć po Europie nagle powstałe upiory. Nie wiem, czy uda się je z powrotem zapędzić w zaswiaty, ale wiem, że jeśli zawładną Europą, to powtórka z historii, mimo wszelkich pobożnych życzeń, jest nieunikniona. (Ciekawe, że dokładnie w ten sposób mówił o tym minister spraw zagranicznych Rządu na Uchodźstwie w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego”).

Jest jeszcze jeden fakt, przewrotna teza, która ma jednak pełne zastosowanie do polskiego rządu w Londynie. Otóż zawdzięcza on swe obecnemu istnieniu ni mniej ni więcej tylko władzom PRL. Tak. Gdyby bowiem nie wypędzono Mikołajczyka, argumenty o ciągłości można by włożyć między bajki.

Ale do rzeczy. Jest więc grupa panów z prezydentem, premierem (prof. Edward Szczepanik) i kilkoma ministrami, która nie ustaje w aktywności na rzecz udowodnienia swej racji do rządu polskich dusz, grupa patronująca wielorakim inicjatywom emigracyjnym, w tym także na rzecz kraju, grupa, która ma swoje trwałe miejsce w polskiej diaspory, grupa, do której lgną ostatnio wszystkie pozaparlamentarne partie krajowe z „niepodległością” mocno wybitą w nazwie bądź programie.

Stanowi to unikalną szansę dla Rządu na Uchodźstwie — realnego zbliżenia się do krajowej sceny politycznej; szansę, której rząd ten wydaje się w pełni świadomy. O ile nieinstytucjonalizowany wybuch sierpniowy z 1980 roku budził większe i bardziej spontaniczne emocje, o tyle ewolucja polityczna Anno 1989 otwiera drogę do rzeczywistych kalkulacji politycznych. Rząd Polski na Uchodźstwie zbliża się coraz bardziej do trzeciego modelu, zasugerowanego przeze mnie na początku — ośrodka emigracyjnej władzy politycznej, gotowej do włączenia się w nurt wydarzeń w kraju, przy zaistnieniu odpowiednich okoliczności.

Jest to jednak, w moim przekonaniu, droga ogromnie daleka i zbudowana w dużej mierze na wishful thinking — pobożnej iluzji. Szanse takie mogą jednak rosnąć, jeśli dojdzie w Polsce do wielopartyjnej gry sił politycznych i generalnej polaryzacji nastrojów.

Pamiętam, jak w 1981 roku pięknie mówił nam w Londynie prezydent Raczyński o Polsce. Potem rozmawiał z „Przeglądem Tygodniowym”, a później był u niego Wałęsa, nazywając go swoim nauczycielem. Proszę zwrócić uwagę na tę ewolucję.

Póki co jednak, prezydenci z Londynu biorą udział w tombolach w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, wydają orędzia z okazji świąt narodowych, odwiedzają harcerki na obozach letnich np. w Walii, choć również spotykają się z prezydentami Ukrainy (tej petlurowskiej), Litwy, Łotwy i Estonii. Premier udaje się „na Zamek” z równą ceremonią jak niegdyś Składkowski do Mościckiego. Niem na pewno, że myśl o powrocie na białym koniu porzucano, a i z tym koniem, to też podobno nie było do końca tak.

Cóż więcej? Nic. To wszystko. Oto właściwy wymiar. Kto bowiem zgłasza się już, by zagłosować na londyńską listę, tak jak Węgrzy chcieli głosować na Habsburga? Co gorsza, nim w pełni suwerenna Polska dogoni zasobnością życia Anglię, nie znajdzie się już chyba zbyt wielu chętnych do powrotu. I to także ważny wymiar tej samej sprawy. Nie używajmy więc wielkich słów tam, gdzie to niepotrzebne, choć nie lekceważmy zarazem niczego, co naprawdę — choć może trochę dwuznacznie — polskie.

### OGŁOSZENIA DROBNE

Pomoc organizacyjną przy zakładaniu przedsiębiorstw i spółek także z kapitałem zagranicznym (sprawy formalno-prawne, inwestycyjne, produkcyjne itp.) oferuje „Diamat” Sp. z o.o. 20-711 Lublin, ul. Hamleta 1, tel. 71-35-57. 24955/G-2

DOM TOWAROWY „HETMAN”  
FOTO-STUDIO 22-400 ZAMOŚĆ  
ul. Kilińskiego 11  
tel. 2000 lub 2009



\*odbitki barwne 9 x 13 - 850 zł./-1 szt  
\*wywołanie filmu barwnego procesem C-41 4900 zł/1 szt  
\*zdjęcia barwne legitymacyjne, studyjne, reportażowe, amatorskie i inne - także pocztą za załączeniem  
\*termin wykonania prac - do 7 dni  
DLA PROFESJONALISTÓW ZNIŻKA !!!

Wycieczki do Wiednia (5-10 stycznia 1990 rok), do Istambułu (5-19 stycznia 1990 rok i 26 stycznia - 8 lutego 1990 r.); ekspresowe wizy do Turcji - „Agrokompleks”, Lublin, Karłowicza 4, p. 212, tel. 292-10 wewn. 162. 30280/G

Lingwista organizuje naukę języka węgierskiego, angielskiego i niemieckiego dla wyjeżdżających za granicę. Informacje i zapisy

Lublin, ul. Strażacka 5, tel. 274-25. 29916/G-4

Oświata w Lublinie organizuje kursy spawania elektrycznego i gazowego na uprawnienia dozorowe Rs, Bs, w osłonie CO<sub>2</sub>, w osłonie argonu, przyuczające do zawodu w branży budowlanej, dziewiarskiej, krawieckiej, kosmetycznej, aerobik oraz inne w miarę potrzeby. Informacje i zapisy, ul. Strażacka 5, tel. 274-25 w godz. 8-15. 29916/G-4

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-MONTAŻOWE „MONTEX” Sp. z o.o. w Lublinie

### zatrudni

- kierowników budów, inżynierów budownictwa ogólnego i przemysłowego ze znajomością języka niemieckiego,
- akwizytorów usług budowlano-montażowych za granicą,
- pracowników z wykształceniem w zakresie handlu zagranicznego,
- kierownika zakładu krawieckiego
- zaopatrzeniowca w branży włókienniczo-odzieżowej.

Przedsiębiorstwo zapewnia atrakcyjne wynagrodzenia oraz możliwość szybkiego wyjazdu do RFN. Oferty prosimy kierować na adres: PPM „Montex” SP. z o.o. ul. Diamantowa 4, 20-447 Lublin tel. fax. 43253. 31003/G

TYLKO Z  
**TARGO TRAVEL**

możesz poznać najciekawsze zakątki świata: Chiny · Egipt · Indie · Izrael · Maroko · Meksyk · Nepal · Pakistan · Syria · Tajlandia · Tunezja

TARGO TRAVEL zaprasza Ciebie również w 1990 roku na Madagaskar, do Kenii, Indonezji oraz w podróż dookoła świata...

INFORMACJE I ZAPISY: Lublin, ul. Motylowa 15  
TEL. 71-24-96, a od stycznia 1990 r.: Lublin, ul. Biernackiego 4, tel. 77-54-51.

